EPOKA

ROK V. Warszawa, 15 stycznia 1938 r. Rok V Nr 2 (105)

Treść numeru:

Cześć tym, którzy ginęli za wolność i lud

1863 – 1938

„Od żądzy niepodległości, od miłości ojczyzny, do najwznioślejszych uczuć demokratycznych, do miłości ludu jest tylko jeden krok". Powstanie styczniowe urzeczywistniło tę wieczystą „prawdę żywotną narodu polskiego", którą dwadzieścia lat wcześniej wypowiedział dalekowzroczny i głęboki teoretyk polskiego programu niepodległościowego, Henryk Kamieński. W imię tej prawdy bohaterowie Sześćdziesiątego Trzeciego roku, zbrojni w strzelby myśliwskie, kosy i pałasze, ruszyli w bój przeciw despotyzmowi caratu — „za wolność i lud". Przeciw nim — garstce straceńców — stał potężny kolos obcego mocarstwa, stał egoizm warstw uprzywilejowanych, stała obojętność i nieufność znacznej części ludu wiejskiego, który, nauczony gorzkim doświadczeniem wieków, odniósł się podejrzliwie do ruchu, kierowanego — jak sądził — przez szlachtę i surdutowców. Tragedią powstania Styczniowego stały się dwa złudzenia, którym pomimo doświadczeń lat 1830/1 i 1846/8 ulegali najwybitniejsi nawet przedstawiciele ówczesnej inteligencji demokratycznej: że szlachta polska złoży na ołtarzu Ojczyzny **dobrowolną** ofiarę ze swych przywilejów feodalnych i sama przeprowadzi uwłaszczenie chłopa — a lud polski **uwierzy** w ofiarność i bezinteresowny patriotyzm szlachty. Bohaterowie polskiej demokracji powstańczej, wpatrzeni w wizję Niepodległej Polski Ludowej, dla której tysiące bojowników ginęło na polach bitewnych, na szubienicach i w katorgach — przypisywali szlachcie własny idealizm i patriotyzm, zwłaszcza, że w znacznej części sami ze szlachty pochodzili. I zawiedli się — nie tyle na chłopie polskim, ile właśnie na warstwie uprzywilejowanej i oświeconej, przodującej w narodzie. Lecz krwawy zawód, który spotkał powstańców sześćdziesiątego trzeciego roku — nie zdołał umniejszyć ich zasługi w walce o Niepodległość i Demokrację. Z ich krwi przecież zrodziło się uwłaszczenie chłopa i zrównanie stanów! Między wrogością warstw uprzywilejowanych a nieufnością ludu, bohaterowie Stycznia poszli drogą wolności i postępu i, choć padli w boju, wywalczyli Polsce takie zdobycze, których już potem nie zdołały odebrać narodowi zjednoczone wysiłki zaborcy i rodzimego feodalizmu.

Bo program społeczny i polityczny powstania Styczniowego był programem demokracji. „Umrzemy z bronią w ręku, niosąc ludowi ziemię i prawa obywatelskie" — w tych słowach Zygmunta Padlewskiego, który bynajmniej nie należał do radykalnego odłamu Czerwonych, zawarła się historyczna treść powstania. I przez to samo właśnie, że powstanie było ruchem szczerze i głęboko demokratycznym, stało się ono wielkim porywem narodowym — i takie miejsce zajęło w naszej historii. Bohaterski wojewoda płocki, szlachcic, który zginął „niosąc ludowi ziemię i prawa obywatelskie" — wszedł do Panteonu demokracji, do Panteonu Polski razem z rzemieślnikami, robotnikami i chłopami, którzy krwią swą zadokumentowali udział Ludu polskiego w powstaniu narodowym. Dziś przed pamięcią bohaterów Podlasia i Żmudzi, księżmi Brzóską i Mackiewiczem, chylimy głowy z tą samą czcią, jaką zdobyli w sercach narodu czerwoni radykałowie i socjaliści z warszawskiego Komitetu Miejskiego, czy żyd Landy, który z kościelną chorągwią w ręku padł od kuli sołdackiej na Placu Zamkowym 8 kwietnia 1861 roku. Bo wszyscy oni oddali życie za wolność i lud. I własnością całego narodu stał się demokratyczny program walki, ogłoszony w niezapomnianym manifeście z 22 stycznia:

„W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkowo jego własnością, dziedzictwem wieczystem..."

Taki był program walki narodu polskiego o wolność i niepodległość! Dlatego demokracja polska nie potrzebuje i nie chce monopolizować dla siebie rocznicy Nocy Styczniowej. Nie monopolizuje bohaterskiej tradycji Stycznia z tej prostej przyczyny, że ta demokratyczna tradycja stała się z wyroku dziejów tradycją całego narodu i taką na zawsze pozostanie. Sztandar demokracji stał się sztandarem Polski, bo walka o Jej niepodległość była zawsze walką o ziemię dla ludu, o wolność i równość wszystkich obywateli! Los Polski nierozerwalnie związał się z losem demokracji. Bohaterowie sześćdziesiątego trzeciego roku krwią swą przypieczętowali ten związek.

Madagaskar

Latem roku ubiegłego na zlecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych i w porozumieniu z Rządem Republiki Francuskiej udała się na Madagaskar Komisja Ekspertów, mająca za zadanie zbadać i ocenić klimatyczne i gospodarcze warunki tej wyspy, jako domniemanego terenu osadnictwa dla Żydów, emigrujących z Polski.

Komisja ta w osobach: dyr. Altera, inż.-agr. S. Dika i mjr. M. B. Lepeckiego spędziła na Madagaskarze przeszło trzy miesiące i dzięki życzliwemu poparciu miejscowych władz francuskich zebrała bogaty plon spostrzeżeń i wiadomości.

Poniżej dajemy artykuł członka tej Komisji Leona Altera, jednego z najgruntowniejszych w Polsce znawców spraw emigracyjnych, b. kierownika Wydziału w Państwowym Urzędzie Emigracyjnym.

Epoka.

Tak dziś popularny Madagaskar był znany starszemu pokoleniu z farsy „Królowa Madagaskaru", a tylko miłośnikom bohatera Słowackiego było dane rozkoszowanie się jego romantycznymi przygodami na tej tajemniczej wyspie. I nikt nie przypuszczał, że zagadnienie gospodarcze, jak kolonizacja, które nie powinno było wyjść poza ramy akademickich roztrząsań, wywoła tak głęboki rozdźwięk w samym ujęciu pomiędzy różnymi odłamami zarówno społeczeństwa polskiego, jak i żydowskiego.

Minister Moutet, (najbliższy współpracownik Jauresa), wychodząc z założeń czysto humanitarnych i przejmując się wieściami o niedoli Żydów na wschodzie Europy, podjął inicjatywę, która spotkała się ze zrozumiałym do pewnego stopnia sprzeciwem kół sjonistycznych, dopatrujących się w tym projekcie odrodzenia dawnych idej Herzlowskich (Uganda, Angola) i szerzenia defetyzmu w swych szeregach przez odciąganie swych sympatyków od jedynej idei rozwiązania zagadnienia żydowskiego za pomocą przesiedlenia Żydów do Palestyny.

Do tego chóru oponentów przyłączyły się również i elementy, które z zasadniczych względów przeciwstawiają się rozwiązaniu problemu żydowskiego za pomocą emigracji. Nawet te grupy, które propagują wśród żydów terytorializm i które, zdawałoby się, winny być zadowolone z możliwości kolonizacji Madagaskaru, powściągliwie milczą.

Jednolity front całego społeczeństwa żydowskiego stanie się jednak zrozumiały w obliczu faktu, że wyjazdom Komisji Ekspertów na Madagaskar towarzyszył akompaniament całej prasy reakcyjnej, która podchwyciła szlachetne projekty francuskie, aby propagować utopijne plany przesiedlenia całej ludności żydowskiej na Madagaskar, co rzekomo stanowić będzie jedyną drogę do rozwiązania problemu żydowskiego w Polsce.

Niestety, kompetentne czynniki polskie nie mogły czy też nie chciały przeciwstawić się tej kampanii, i miarodajnym oświadczeniem utrącić demagogię nacjonalistyczną.

Nawet wydany ostatnio komunikat Pol. Inf. Politycznej niezupełnie wyraźnie przeciwstawił się tym nastrojom, co dało okazję ostatniemu mohikaninowi liberalizmu narodowego, p. Koskowskiemu, w artykule zamieszczonym w „Kurierze Warszawskim" p. t. „Non possumus", do załamywania rąk nad brakiem zmysłu politycznego u Żydów, którym ofiaruje się wyspę Madagaskar i którzy z własnej woli jej nie przyjmują...

Jeżeli na chwilę oderwiemy się od tych wszystkich nastrojów i przejdziemy do samego zagadnienia kolonizacji Madagaskaru, to przede wszystkim stwierdzimy, że Madagaskar znajduje się w zasięgu

tropikalnym, ma powierzchnię 627 tysięcy klm. kw., czyli jest większy niż Belgia, Francja i Holandia razem wzięte i posiada rozmaite strefy, które różnią się od siebie zarówno pod względem klimatycznym, jak glebą i florą.

Strefa wschodnia, nad oceanem Indyjskim, niezmiernie bogata, o klimacie gorącym i wilgotnym, podlegająca częstym kataklizmom żywiołowym, nie może być wzięta w rachubę przy ewentualnej kolonizacji przez człowieka białego ze względu na tropikalne upały, które trwają przez cały rok. Dlatego też europejczycy, w tej strefie zamieszkali, są jedynie kierownikami produkcji, cała zaś praca wykonywana jest wyłącznie przez czarnych tubylców.

Z tych samych względów nie może być brana pod uwagę i zachodnia strefa, równie bogata, pomimo mniejszej ilości opadów atmosferycznych, jak i południowa część wyspy, na której jednak właśnie brak opadów powoduje przenoszenie się tubylców do innych części wyspy, obfitujących w wodę, a zwłaszcza na płaskowzgórze, znajdujące się w centralnej części Madagaskaru.

Płaskowzgórze (plateu), zajmujące około 160 tysięcy klm. kwadr., dzięki wysokiemu położeniu, dochodzącemu w niektórych miejscach do 2800 metrów ponad poziom morza, ma klimat względnie umiarkowany, o przeciętnej temperaturze 18 stopni, przy dostatecznej ilości opadów atmosferycznych, kwalifikuje się w niektórych swych strefach na wysokości 800—1000 metrów, do ewentualnej kolonizacji i pracy białego człowieka. Aczkolwiek opinia kół konserwatywnych na Madagaskarze jest przeciwna pracy białych, co ich zdaniem, obniża prestige wobec tubylców czarnych, to jednak postępowa część francuskich urzędników, jak i obecne organy centralne we Francji, zwalczają te poglądy.

Na tym to płaskowzgórzu, w jego centrum, usadowił się szczep Hova, malajskiego pochodzenia, który w końcu XVIII w. potrafił zjednoczyć w swych rękach rządy nad całą wyspą, a to dzięki wyższemu poziomowi kulturalnemu. Cała inteligencja i urzędnicy, poza Francuzami, rekrutują się ze szczepu Hova.

Ze względu na poziom cywilizacyjny i ugodowe stanowisko szczepu Hova wobec administracji francuskiej, ewentualna kolonizacja tego terenu wywołuje jednak sprzeciw władz francuskich, nie mogących dopuścić do powstania nowej „kwestii arabskiej" na Madagaskarze, na podobieństwo Palestyny.

Dlatego też administracja francuska wskazała Komisji Ekspertów tereny na samej północy wyspy, o cechach zupełnie analogicznych, jak w centrum płaskowzgórza, a rzadko zaludnione przez stojący na znacznie niższym poziomie kulturalnym szczep Tshimihetys. Prowincja ta, nosząca nazwę Anakaizaine, wraz z przyległymi dystryktami, zajmująca przestrzeń około 18 tys. klm. kwadr., do której dotarliśmy po trzydniowej podróży automobilami i dwudniowej przechadzce na noszach (filinsa), a zbadana i opisana niedawno przez agronomów francuskich François i Champonois, na której obecnie dopiero przeprowadzane są pomiary geometryczne, obejmuje tereny bezwzględnie nadające się do kolonizacji przez białych.

Jednakże i na tych terenach może być mowa o kolonizacji dopiero po przeprowadzeniu dróg, łączących je z portem, co umożliwiłoby kolonistom zbyt produktów, gdyż w obecnym stadium prowincja ta w okresie deszczów jest zupełnie odcięta od świata. Następnie konieczne są prace melioracyjne, które osuszyłyby moczary oraz konsekwentna walka z panującą zresztą wszędzie na Madagaskarze malarią, tą wielką klęską całej wyspy.

Jest zrozumiałe i oczywiste, że prace te mogą być przedsięwzięte jedynie przez administrację francuską na Madagaskarze w zrozumieniu ich doniosłego znaczenia dla podniesienia życia i kultury wyspy.

W tym duchu przedstawiliśmy nasze wnioski ministrowi kolonii, p. Moutet, i odnieśliśmy wrażenie, że zdaje on sobie dokładnie sprawę z rzeczywistości i odnosi się ze zrozumieniem do naszych obserwacji.

Zagadnienie kolonizacyjne nie ogranicza się jednak tylko do współpracy władz francuskich i wyboru terenów, ale przede wszystkim do selekcji materiału ludzkiego, pod względem fizycznym i moralnym, jak to zresztą podkreślił minister Moutet, oraz do stworzenia organizacji, posiadającej niezbędne kapitały, nie obliczone na zysk i na wyzysk kolonistów, lecz oparte na zasadach społecznych, która mogłaby ewentualną kolonizację zrealizować. Zwłaszcza trudna jest kolonizacja Żydów elementu miejskiego, nieposiadających przywiązania do ziemi, a których nie wystarczy tylko osadzić na ziemi, wymagają bowiem oni instruowania i opieki celem zapobieżenia rozproszeniu się po całej wyspie, co wywołałoby sprzeciw administracji francuskiej i w rezultacie deportację do kraju.

Warto również zważyć, że kolonizacja Żydów dawała dodatnie rezultaty tylko w tych wypadkach, gdzie działały pobudki emocjonalne, jak np. w Palestynie i Birobidżanie, i tu jednak przy wielkim nakładzie pracy i kapitałów społecznych i prywatnych wyemigrowało do Palestyny w ciągu 18 lat z Polski około 120 tysięcy osób, z czego zaledwie 25% zostało skolonizowane, a więc około 30 tysięcy ludzi według optymistycznych obliczeń kół sjonistycznych.

Z drugiej strony najpoważniejsza żydowska organizacja kolonizacyjna, oparta na kapitałach, pozostawionych przez bar. Hirscha, który nabył w Argentynie najbardziej żyzne tereny, t-wo ICA, przy sprężystej działalności potrafiło w ciągu 30 lat skolonizować jedynie 3000 rodzin, które z bliższymi i dalszymi krewnymi i rzemieślnikami, grupującymi się koło nich, stanowią 30000 dusz.

Te suche liczby z historii żydowskich usiłowań kolonizacyjnych winny rozwiać złudzenia tych czynników, które widziałyby możliwości rozwiązania kwestii żydowskiej w Polsce za pomocą kolonizacji tych czy innych terenów.

Jeżeliby jednak udało się stworzyć organizację, mającą na celu skolonizowanie Madagaskaru, to w całym zagadnieniu należałoby uwzględnić przede wszystkim dodatni i doniosły moment w osobie kontrahenta — Francji, która, przystępując do kolonizacji Madagaskaru, nie ma żadnych imperialistycznych zamierzeń, a wyłącznie humanitarne. Zarówno u francuskich organów centralnych, jak i na miejscu na wyspie Komisja Ekspertów z zadowoleniem stwierdziła brak wszelkich uprzedzeń rasowych, co w obecnej dobie godne jest podkreślenia i uwagi.

LEON ALTER.

Z dnia na dzień

DEMOKRACJA W OFENZYWIE

Jak olbrzymią, nieprzepartą siłę przyciągania ma dzisiaj idea demokracji, przekonać się mógł każdy, kto brał udział w zorganizowanym przez młodzież socjalistyczną zgromadzeniu politycznym, jakie w dniu 9-ym b. m. odbyło się w sali Ateneum w Warszawie.

Sala teatru wypełniona była po brzegi słuchaczami; a było by tych słuchaczów dwakroć i trzykroć tyle, gdyby ich sala zdołała pomieścić. Listę mówców stanowili: red. Niedziałkowski, red. Czapiński, red. Kosmowska, prof. Michałowicz, adw. Graliński, W. Wasilewska i Pietrzykowski.

Po raz pierwszy zatym na wspólnej trybunie publicznej wystąpili w Warszawie przedstawiciele starszego i młodszego pokolenia P. P. S. obok działaczy Stronnictwa Ludowego i Klubu Demokratycznego, który w osobie swego prezesa prof. Michałowicza, spotkał się z aplauzem żywiołowego entuzjazmu zgromadzonych.

Wszyscy mówcy dali wyraz niezłomnemu przeświadczeniu, że tylko rządy demokratyczne, tylko przebudowa ustroju i duszy społeczeństwa w kierunku zaspakajania najistotniejszych potrzeb szerokich mas chłopskich, robotniczych i pracowniczych, mogą stworzyć nam Polskę silną, zamożną, oświeconą i zdolną stawić czoło nieprzyjaciołom.

„Gdy o demokrację — stwierdza w swej relacji ze zgromadzenia „Robotnik" — walczy grupa ludzi, czy jedna jakaś partia polityczna, można temu przeciwstawić się z pewnymi widokami powodzenia; lecz gdy walczą o demokrację organizacje polityczne, reprezentujące interesy 90% ogółu ludności polskiej to jasną staje się rzeczą, gdzie najbliższe jutro umieści zwycięstwo".

Niedzielne zgromadzenie w Ateneum było istotnie imponującym dowodem harmonii, jaka panuje między ludźmi, reprezentującymi ruch chłopski, ruch robotniczy i ruch inteligencki.

Cóż tej harmonii przeciwstawić mogą endecy wszelkiego obrządku, (antysanacyjnego i sanacyjnego) oraz ci, którzy na endecji próbują oprzeć swój zachwiany autorytet?

Przeciwstawiają jej — śmiech powiedzieć! — parę głosów warcholskich, które na sali w Ateneum podniosły pół minutowy hałas, gdy jeden z mówców (adw. Graliński) stanowczo i wyraźnie polską rację stanu odgrodził od racji stanu zarówno Berlina jak Moskwy. Protesty niedowarzonych amatorów totalizmu zginęły w powszechnym grzmocie oklasków, solidaryzujących się ze stanowiskiem organizatorów zgromadzenia.

Ale głosy warchołów, zgłuszone na sali w Ateneum, odżyły poza nią. Wyłowiła je i ocaliła prasa endecka, powołując się na nie, jako na głosy komunistów, którzy wedle niej zapełniać mają zastępy polskiej demokracji.

Biedna endecja! Czym byłaby ona bez straszaka żydokomuny, piastowanego w zanadrzu tak czule jak żadna matka jeszcze nigdy nie piastowała swego lubego dzieciątka.

Więcej dziwi nas to, że z opinią macierzystej endecji i tym razem połączyli się i ci, którzy, kładąc uszy endeckie po sobie przebrali się w nową liberię. Widocznie ucho endeckie jest tak długie, że się nie da ukryć w żadnym przebraniu.

OSTRZEŻENIE WYSOCE UZASADNIONE

„Milszy jeden nawrócony grzesznik, niż stu sprawiedliwych..." W „Gazecie Polskiej" z 8 b. m. p. Z. Stahl, nowy redaktor działu, poświęconego polityce wewnętrznej, ostrzega, ostrożnie, ale dobitnie, przed agenturami „nacjonalistycznej międzynarodówki". Wychowanek p. Dmowskiego, p Stahl, był, jest i pozostanie nacjonalistą. Ale niepokoją go pewne przejawy działalności nacjonalistycznej, mogące zamienić Polskę w „sferę wpływu jakiejkolwiek doktryny, jako instrumentu obcej kultury czy obcej polityki". Takiemu wpływowi „mogą ulegać wszędzie i w każdym kraju ośrodki zdegenerowanej myśli politycznej, zwłaszcza nacjonalistycznej". Toteż p. Stahl nawołuje do przeciwstawienia się „nacjonalizmowi, jako doktrynie międzynarodowej, potrzebnej być może niektórym imperializmom politycznym". Zdaniem jego, zdaniem oczywista zupełnie słusznym, „prawdziwy, rzetelny interes narodowy nie może brać za punkt wyjścia tych nacjonalistycznych formułek, ale musi się zdecydowanie przeciwstawić naporowi propagandy, idącej z zagranicy".

Słuszne słowa. Tym słuszniejsze, że pochodzą od niewątpliwego nacjonalisty i od człowieka, który z racji swego rodowodu politycznego i swego obecnego stanowiska, niewątpliwie więcej niż my, ludzie z boku, wie o zakulisowych kontaktach międzynarodowych polskiego nacjonalizmu.

P. Stahl, b. poseł endecki, ongi ulubieniec i uczeń p. Dmowskiego niewątpliwie wie więcej niż my o kulisach ostatnich wypadków w Stronnictwie Narodowym, gdzie w sposób niespodziewany dla nikogo wyleciała z siodła nietylko stara „grupa profesorska", podejrzana o „liberalizm", ale i młoda, najbliższa p. Dmowskiemu, grupa Bieleckiego. Gdzie do władzy doszedł akurat p. Kazio Kowalski, „führerek" endecji łódzkiej, najbliżej związanej z niemieckimi, hitlerowskimi fabrykantami. Czy to nie na jednej liście z p. Kowalskim kandydował do Rady Miejskiej w Łodzi — p. Kurt Klikar, nowo upieczony endek, a dawny — i dotąd aktualny — radca prawny ambasady czy konsulatu Trzeciej Rzeszy? Czy to nie właśnie w rewirze p. Kazimierza Kowalskiego zmobilizowano wszystkie siły „narodowe" do walki o władztwo niemieckich hitlerowców Eisertów et Co., nad Zakładami Kindlerowskimi?

P. Stahl, kierownik działu polityki wewnętrznej „Gazety Polskiej", centralnego, oficjalnego organu Ozonu, niewątpliwie zauważył niezwykle wielką rolę, odgrywaną przez wysokich funkcjonariuszy Elektrowni Łódzkiej w łódzkiej i w ogólno - krajowej organizacji Ozonu. Czy to nie jeden z tych urzędników, groził na publicznym zebraniu „puczem" ozonowym, gdy tylko Ozon będzie miał w Łodzi 2.000 ludzi, „gotowych na wszystko"? P. Stahl, polityk i ekonomista, zna niewątpliwie książkę, wydaną przez Główny Urząd Statystyczny, o Elektrowni Warszawskiej. Wie więc, że Elektrownia Łódzka, której sztab urzędniczy stanowi twierdzę jego partii, należy do niemieckich koncernów elektrycznych A. E. G. i Siemensa, odgrywających olbrzymią rolę w ekspansji politycznej Trzeciej Rzeszy...

P. Stahl, wódz „Ruchu Narodewo-Państwowego", znakomity ekspert w odpryskiwaniu od endecji grup i grupek do wiadomych prerogatyw, zna niewątpliwie fakty, odnoszące się do udziału endeckiego ks. Trzeciaka w kongresie „Weltdienstu", instytucji, określonej przez prokuraturę szwajcarską jako „ośrodek propagandystyczny i wywiadowczy Trzeciej Rzeszy". P. Stahl niewątpliwie czytał sprawozdanie ks. Trzeciaka o tym kongresie, zamieszczone w „A. B. C." i słyszał chyba coś nie coś może więcej niż my, o „polnische Inspektionsreise" bar. de Pottere, którego nazwisko wypłynęło teraz w aferze francuskiego „C.S.A.R.", P. Stahl niewątpliwie słyszał więcej niż my i zwrócił uwagę na

p o l i t y c z n ą wycieczkę do Trzeciej Rzeszy polityków polskich zbliżonych do „Jutra Pracy", z której to pismo zdawało tak obszernie sprawę w szeregu numerów.

Wyliczyliśmy tylko niektóre fakty jawne, dostępne wszystkim, władającym sztuką czytania. P. Stahl niewątpliwie zna sporo faktów dalszych, mniej jawnych. Tym większego znaczenia nabiera jego ostrzeżenie przed doktrynami „międzynarodowego nacjonalizmu", „b y c może p o t r z e b n e g o n i e k t ó r y m i m p e r i a l i z m o m".

Miejmy nadzieję, że ostrzeżenie jego zostanie wysłuchane — choćby tylko w redakcji pozostałych działów „Gazety Polskiej" i organów pokrewnych lub zależnych, czerpiących z niej natchnienie.

NACJONALIŚCI O SOBIE

W katowickim „P o w s t a ń c u" znajdujemy próbkę swoiście uproszczonej polemiki z endeckim ideologiem, p. Giertychem, który na pytanie „Kto jest narodowcem?" tak odpowiedział w „K u r e r z e P o z n a ń s k i m": „Po pierwsze — co to jest narodowiec. Otóż narodowcem jest nie każdy spośród tych, którzy sami siebie głośno narodowcami obwołują, ale jest tylko ten, który związany jest węzłami przynależności organizacyjnej lub łączności ideowej z ruchem narodowym i z obozem narodowym. A ten jest tylko jeden.

Nie są narodowcami ani wielbiciele idei państwa ukraińskiego, ani wszelkie odmiany „narodowych" radykałów, ani zwolennicy „lig" mających łączyć wszystko co się w Polsce — głęboko lub powierzchownie, umiejętnie lub niezdarnie szczerze lub nieszczerze, — przeciwstawia „Fołksfrontowi". Narodowcy — to są po prostu narodowcy. I koniec".

„Oczywista" konkluduje nacjonalistyczno - sanacyjny P o w s t a n i e c: „A błazen — to jest po prostu błazen".

„CISZEJ O ...DEFRAUDACJACH!"

Fala procesów „starościńskich", jaka przeszła przez Polskę, niewątpliwie zwróciła na siebie uwagę opinii publicznej. Niewątpliwie także, stanowisko naszej opinii było w tej sprawie wyjątkowo jednomyślne. Poszczególne głosy różniły się co najwyżej ostrością tonu.

A jednak ...jeden głos zabrzmiał dysonansem. P. poseł Dudziński, zapowiadający, jak wiadomo „odrodzenie moralne" narodu wygłosił w Sejmie niezwykle ciekawą mowę na ten temat, przedrukowaną w świątecznym „Jutrze Pracy". P. poseł Dudziński, prawdopodobnie w imię „czystości moralnej" polskiego nacjonalizmu, uważa, że jeśli defraudantom należy procesy wytaczać, to tylko dyskretnie i oględnie. Broń Boże, nie publicznie! „Komu potrzebne — pyta on ze zgorszeniem — to publiczne pranie brudów? W dobrze urządzonym domu europejskim brudy pierze się w piwnicy. Publiczne pranie brudów w sadzawkach jest objawem przestarzałym... Wogóle zdaje mi się, że wynik tych sądów to będzie mizerny, tylko spustoszenie w duszy miejscowego społeczeństwa straszliwe... Wniosek: „Przestańcie Panowie — źle się bawicie..."

Co znaczą te słowa p. Dudzińskiego? Co znaczy „prać brudy w piwnicy"? Były defraudacje, czy nie były? Czy zużywano fundusze przeznaczone — i zbierane przez społeczeństwo — na pomoc bezrobotnym, na cele postronne? Czy było to nadużycie władzy, czy nie? Czy nadużycie władzy należy do Sądu, czy może do... konwentyklu zwolenników „Jutra Pracy"?

Charakterystyczne są te słowa: „w porządnym europejskim domu".

W imię czego pan poseł przeciwstawia je Polsce? W imię żądania bezkarności dla przestępstwa szczególniej odrażającego, bo połączonego z nadużyciem władzy i pokrzywdzeniem najuboższych? Czyżby dlatego, że ramię sprawiedliwości, tak skore na całym świecie do karania, gdy chodzi o winy maluczkich, nie cofnęło się przed wymierzeniem kary także i osobom większym, należało podnosić lament i odsądzać dom polski od miana „porządnych domów europejskich"?

A cóż to za dziwny kaznodzieja — rzekłbyś, Skarga naopak wywrócony — zasiadł w sumieniu tego posła? Nie bezkarność gromi, nie pobłażanie możnym gwałcicielom prawa, ale rozprawę sądową i wyrok, spadający na głowę winowajcy!

Nie bolało go „spustoszenie w duszy miejscowego społeczeństwa", dopóki spustoszenie to wyrażało się w okradaniu bezrobotnych... Bólów ból zatargał nim dopiero wtenczas, gdy sprawca spustoszenia zasiadł publicznie na ławie podsądnych i został potępiony. Dopiero wtenczas, gdy zapadł wyrok na defraudanta, pan poseł, boleśnie zraniony, woła: „Przestańcie, bo się źle bawicie!" Ale woła tak nie na winnego defraudacji, tylko pod adresem sędziów, którzy wyrok wydali!!!

Albo się mylimy, albo pan poseł bawi się w podcinanie powagi naszych sądów.

Pytamy: w czyim interesie? Jak wygląda ów zwolennik rządów autorytatywnych, który zaczyna od podkopywania autorytetu władz sądowych?

MNIEJSZA O TO CZYM CHRZCZONY

Niedawno przyniosła prasa wiadomość, że zgłoszono się do władz o legalizację „uniwersytetu żydowskiego". Wśród inicjatorów tej, tak niezwykle ważnej dla Polski imprezy oświatowej znajdujemy m. in. p. Kazia Kowalskiego, prezesa starej endecji, ks. Trzeciaka, tego od „Weltdienstu", p. mec. Rościszewskiego z O. N. R. i p. Bruna, prezesa Rady Naczelnej Związków Kupiectwa Polskiego. P. Brun niewątpliwie będzie mógł na tym uniwersytecie wykładać o „żydowskich praktykach gospodarczych" z własnego doświadczenia. Znajduje się bowiem w ożywionych stosunkach z kapitałem żydowskim. Jego firma ma swego przedstawiciela, p. St. Bruna w Radzie Nadzorczej Banku Zachodniego, stanowiącego własność żydowskiej rodziny Wawelbergów i ochrzczonej (w pierwszej generacji) rodziny Rotwandów. Tenże p. St. Brun zasiada również w Zarządzie „Lilpopa" należącego również do wyżej wymienionych dwóch rodzin. Jak widzimy, stosunki między rodzinami Brunów a Rotwandów i Wawelbergów są wcale bliskie i przyjazne. Zresztą czyż sam p. H. Brun nie jest kolegą p. W. Hirschfelda, w instancjach kierowniczych S. A. Block - Brun?

Czy wiecie, kto to jest p. Włodzimierz Cieński? Senior obszarników podolskich jeden z czołowych ludzi starej endeckiej gwardii. Niedawno „Praca Polska" we Lwowie wybrała go na swego prezesa honorowego. P. Cieński jest jeszcze gdzieś prezesem, tym razem rzeczywistym: w Związku Przedsiębiorców Gorzelń Rolniczych S. A. we Lwowie. Koleguje on tam w prezydium z p. Dr. J. Parnasem, wiceprezesem tegoż Związku. Nie wierzycie? Zajrzyjcie do „Rocznika" Spółek Akcyjnych, pozycja 7868.

P. Franaszek. Wróble na dachach warszawskich świergocą o jego przyjaźni dla wszelkiego rodzaju O. N. R.-ów. Ale p. Franaszek bierze udział i w innych organizacjach. Opowiada nam o tym „Statystyka Karteli w Polsce" wydana przez G. U. S. Oto (na stronie 67) kartel „Bibukol" (bibułki kolorowe). Wśród uczestników jego figuruje na pierwszym miejscu firma J. Franaszek. Na drugim p. Abram Guranc. Są tam dalej pp. Pacanowscy, firmy Wolf Szpiro i J. Szpiro i parę innych. Jest kartel drugi, tapeciarski. Głównymi jego uczestnikami są znowu p. Franaszek, i firma „Gnaszyńska Fabryka Tapet", należąca do rodziny Sigmanów. Oba te kartele zostały coprawda rozwiązane, ale nie z woli p. Franaszka. Rozwiązał oba p. Minister Przemysłu i Handlu. Gdyby szło o p. Franaszka, to zapewne wolałby on dotąd współpracować z p. Abramem Gurancem i z p. Abem Sigmanem...

Nie warto robić tragedii. Znamy groźniejsze monopole kapitalistyczne niż „Bibukol" i Związek Przedsiębiorców

Gorzelnianych. Bank Zachodni jest skądinąd jednym z solidniejszych banków Polski. Ale chodzi nam o swoistą obłudę pp. endeckich przedsiębiorców.

Kiedy polski pracownik umysłowy, przyjmuje na równych prawach do organizacji zawodowej swego żydowskiego kolegę, to dla „Falang" i ich pobratymców jest to „folksfront" i masoneria. Kiedy polski robotnik strajkuje wraz ze swym żydowskim towarzyszem, to jest to dla tych samych panów żydokomuna i wywrotowa robota. Kiedy polski student spotka się w kole naukowym z żydowskim kolegą, to ulega podług nich żydowskiemu jadowi. Tak krzyczy prasa, finansowana przez p. Franaszka. Tak głosi „Praca Polska" w której honorowym prezesem jest p. Cieński. Tego będą uczyć na uniwersytecie żydoznawczym p. prezesa Bruna. Ale, kiedy rodziny Brunów zasiadają w Radach Nadzorczych obok pp. Wawelbergów, Hirschfeldów, Landauów, kiedy p. Franaszek zawiera spółkę kartelową z p. Gurancem, kiedy p. Cieński koleguje w związku przedsiębiorców z p. Parnasem to wszystko jest w porządku. Pikiety nie staną przed salą obrad Banku Zachodniego. Nie ma ghetta przy zielonym stole karteli. Po to przecież nasi aryjscy baronowie przemysłu finansują pikiety i Falangi, aby mógł dalej zbierać spokojnie swe zyski wielki kapitał finansowy i kartelowy, mniejsza o to, czy chrzczony kropidłem czy... scyzorykiem.

RELIGIA ELITY

W ostatnich tygodniach głośno było znowu o kartelu drożdżowym. Komisja Sejmowa nawet zażądała jego rozwiązania. Pisała o nim obficie prasa. Zobaczymy... Złośliwi mówią, że i tym razem zapał rozejdzie się po kościach a kartel pozostanie.

Wymieniano niezłe sumy zysków kartelu w ostatnic dziesiątku lat. Kartel protestował. Ogłosił kontroświadczenie Tłumaczył, że zarobił mniej. Na papierze — owszem. Opuścił w rachunku pensje dyrektorów, tantiemy Rad Nadzorczych i jeszcze parę pozycji. Ale nie o tym chcieliśmy mówić.

Padło w tej dyskusji, z poważnych skąd inąd ust, słowo o czterech rodzinach żydowskich, rządzących kartelem Podchwyciły je oczywista „Wieczory" i „Gońce".

Rzecz prosta, są. Wymieńmy ich po imieniu: Szereszewscy i Szpilfoglowie w „Henrykowie" i „Woli Krysztoporskiej", Binentalowie w „Warszawskiej Fabryce Drożdży", Goldbergowie, Parnasowie itd. w „Lesienickiej Fabryce Drożdży" (pod Lwowem), Drillerowie w „Bieżanowie". Ale czy te cztery rody są same w kartelu. Pocóż przyćmiewać światło? Przecież te rody mają jeszcze wspólników: w „Bieżanowie" prezesem Rady Nadzorczej jest Dr. A. Krzyżanowski, wiceprezesem inż. T. Zamoyski, w „Lesienickiej" jest hr. Zaleski. Ale nawet pomijając tych panów, w kartelu znajdujemy i inne firmy. Trudno nam np. zaliczyć Browary Okocimskie do firm żydowskich (w Radzie są bar. Götz Okocimscy, hr. Badeniowa, pp. Komorowscy i Włodkowie). Przecież, o ile się nie mylimy, jeden z reprezentantów rodu i firmy zasiada w „Klubie Katolicko - Narodowym" obecnego Sejmu. A jednak Browar Okocimski jest w kartelu i ma swego przedstawiciela w jego Radzie w osobie bar. Zofii Götz-Okocimskiej. Trudno zaliczyć do Żydów obszarników poznańsko - pomorskich, zgrupowanych dokoła ozonowego mocno endekującego „Dziennika Poznańskiego" sprzymierzonych z hitlerowskimi obszarnikami niemieckimi z tychże ziem. A przecież grupa ta należy do kartelu poprzez „Lubońską Fabrykę Drożdży" i zarządzaną przez „Zachodnio - Polskie Zjednoczenie Spirytusowe" drożdżownię tczewską. Reprezentują ją w Radzie kartelu pp. Witold Kaden, St. Suryn i St. Dembiński, być może również p. L. Horodyski. Jest wreszcie w kartelu p. K. Arkuszewski z „Pilicy" i parę mniejszych płotek „aryjskich" i nie-„aryjskich".

Przyznajmy, że niezbyt wiele nam zależy, czy płacimy haracz samemu p. Szereszewskiemu, czy też spółce p. Szereszewskiego z p. Götz - Okocimskim Uważamy mianowicie, że haraczy kartelowych spożywca polski wogóle opłacać nie powinien. Ale sądzimy, że kiedy pp. Surynowie, Götz - Okocimscy, Tuchołkowie nie gardzą pieniążkami ze spółki z pp. Drillerami i Goldbergami, nie powinni też gardzić odpowiednim rozgłosem. Do kartelu się należy albo się nie należy. Ale skoro się należy, to nieładnie jest potomkom rycerskich rodów kryć się za plecyma p. Szereszewskiego.

Stwierdzamy: podatek, opłacany panom na drożdżowniach przez spożywcę polskiego idzie do kieszeni zjednoczonych polskich, żydowskich (i niemieckich) magnatów kartelowych

Na fakcie tym raz jeszcze sprawdza się to, co rzekł znakomity ekonomista polski, doskonale zorientowany w mechanice nie tylko polskich, ale i wszecheuropejskich stosunków gospodarczych: „dla ludzi, mających dochody powyżej 10.000 zł. miesięcznie, nie istnieją różnice ani narodowe ani wyznaniowe; łączy ich wspólna religia elity".

ŚWIĘTE PRZYMIERZE

Krótka była radość tych dusz pobożnych a łatwowiernych, które, polegając na wigilijnej mowie papieża, nie pozbawionej ostrych akcentów antytotalistycznych, wyobraziły sobie, że Kościół rzymski istotnie dokonywa zwrotu i odsuwa się od boku dyktatorów.

Dla nas było rzeczą jasną, że słowa Piusa XI, który jest jednym z najobrotniejszych polityków i taktyków doby obecnej, były tylko posunięciem dyplomatycznym i — niczym więcej. Kler rzymski mieć może dla demokracji i dla świata pracy miłe i powierzchowne komplementy, ale głąb serca chowa dla faszyzmu, w którym nie bezzasadnie widzi spadkobiercę dawnych tronów samowładczych. A czyż przymierze ołtarza z tronem nie stanowiło rdzennej tradycji Kościoła?

Na potwierdzenie naszej opinii nie trzeba było długo czekać.

W dniu 9 b. m. odbyła się w Rzymie, pod egidą Mussoliniego, pompatyczna uroczystość faszystowsko - hitlerowsko - kościelna, która pokazała, gdzie leżą istotnie pozycje kleru katolickiego.

Naprzód, w godzinach porannych, w teatrze „Argentina", Mussolini, w obecności niemieckiego ministra Darrego, wręczył nagrodę rolnikom swego kraju, premiowanym w konkursach zbożowych. Przy tej okazji Duce, zwracając się do gościa z Berlina, oświadczył, że współpraca Włoch z Niemcami, tak płodnie rozwijająca się w zakresie politycznym, zyska wdzięczne dopełnienie w dziedzinie gospodarczej: począwszy od marca około 30 tys. włoskich robotników rolnych znajdzie zatrudnienie w Niemczech przy uprawie buraków, żyta i pszenicy.

Z kolei, w godzinach popołudniowych, Mussolini przyjął w sali królewskiej Pałacu Weneckiego 60 biskupów oraz 2 tys. proboszczów włoskich, którzy położyli specjalne zasługi dla faszystowskiej polityki rolnictwa. Mowy, jakie dostojnicy Kościoła zamienili z Wodzem faszyzmu, były wzajemną deklaracją miłości, braterstwa i wiary we wspólne ideały. Gdy Mussolini wzniósł entuziastyczny okrzyk ku czci papiestwa, kler nie pozostał mu dłużny i przez usta jednego z proboszczów oświadczył, że „w dziełach faszyzmu widzi urzeczywistnienie lepszej sprawiedliwości społecznej."

Jak ta sprawiedliwość społeczna, urzeczywistniona przez Mussoliniego, wygląda naprawdę, o to nie potrzebujemy pytać włoskich robotników. Wystarcza, gdy usłyszymy zdanie włoskich przedsiębiorców, którzy, pod niejednym względem utyskując na awanturniczą politykę faszyzmu, przyznają jednak zgodnie, że **jest on najdoskonalszym w chwili obec-**

nej narzędziem do obcinania płac robotniczych.

Ale nie chodzi nam tutaj o treść wewnętrzną faszyzmu. Chodzi nam o stosunki, jakie zachodzą między nim a Kościołem rzymskim. Mussolini, rankiem podający dłoń bratnią wysłannikowi Hitlera a popołudniu tegoż dnia ściskający ręce dostojnikom i sługom Watykanu, jest żywym symbolem tej wewnętrznej harmonii, która ponad powierzchownymi rozterkami łączy Berlin i Rzym: zarówno świecki jak duchowny.

ENDECY A POLACY

Czytamy w „Gazecie Grudziądzkiej":

„W dniu 4 grudnia 1937 r. zastrejkowali robotnicy w fabryce Dziewulski i Lange w Opocznie, w obronie warsztatu pracy, bowiem firma wymówiła pracę robotnikom. Agitatorzy endeccy przyszli z pomocą swym członkom, fabrykantom - endekom. Rozbiegli się po wsiach, zaalarmowali chłopów, że w Opocznie zbuntowali się żydzi i komuniści. Demagogicznymi hasłami udało im się ściągnąć w nocy do lokalu Stronnictwa Narodowego trochę obałamuconych chłopów, których uzbroili w kije, wyznaczyli im „wodza niejakiego Gryba i ruszyli pod bramę fabryki, by usunąć strajkujących robotników. Na wieść o rebelii endeckiej zbiegli się robotnicy, ich żony i dzieci i dali endekom taką odprawę, ża do świtu szukali się po polach".

Pismo wylicza nazwiska rannych w czasie tej „odprawy" i po tym zwraca się do chłopów z serdecznym, prawdziwie patriotycznym apelem:

„Chłopi! Zastanówcie się, kto dla Was jest bliższy, czy głodujący robotnik, który wywodzi się często spod strzechy chłopskiej, czy też syty i opasły kapitalista, który zjada owoce Waszej ciężkiej pracy. Położenie głodnego i obdartego robotnika, obarczonego zazwyczaj liczną rodziną, wyrzuconego bez środków do życia na bruk, powinien najlepiej zrozumieć również głodny i obdarty chłop opoczyński. Strajk w Opocznie jest jaskrawym przykładem, do czego jest potrzebny chłop endekom".

Słuszne słowa. Notujemy je z tym większym zadowoleniem, że „Gazeta Grudziądzka" jest organem raczej „umiarkowanego" skrzydła Stronnictwa Ludowego, że na jej szpaltach spotykaliśmy nieraz wybitnie niechętne dla ruchu robotniczego, przychylne dla prawicy społecznej uwagi. Tym cenniejsze jest jej obecne stanowisko. Stanowi ono dowód, że zrozumienie solidarności warstw ludu polskiego obejmuje dziś i takie odłamy, które dotąd były jej niechętne. Jest to sukces nie tylko tego czy innego stronnictwa, ale sukces całego narodu polskiego, który rozwój swej potęgi widzi w rozwoju demokracji.

Stefan Czarnowski — rodowód i synteza kultury

Nad grobem prof. Stefana Czarnowskiego, i potym w dniach najbliższych, wspólnym kręgiem żałoby związanych ze smutnym obrzędem pogrzebu, nie brakło życzliwego głosu jego przyjaciół, wiernych towarzyszów pracy i walki, kolegów, uczniów i słuchaczy. W mowach, którymi żegnano zmarłego, we wspomnieniach, które poświęcono mu na łamach dzienników i czasopism, podniesiono urok i wartość człowieka, patriotyzm i dzielność Polaka, jego męstwo żołnierskie i odwagę cywilną — dwie wspaniałe cnoty, tak rzadko w jednej ogniskujące się piersi. Złożono — przede wszystkim — dań nieskazitelnemu a mocnemu charakterowi tego profesora i uczonego i — postąpiono słusznie, z naciskiem uwydatniając w Czarnowskim te walory, które są podwaliną wszelkich innych a które w świecie pracowników nauki i wybrańców talentu nie mają, niestety, owego zwartego przedstawicielstwa, jakiebyśmy widzieć w nich pragnęli.



STEFAN CZARNOWSKI W MUNDURZE KAPITANA W. P. W 1920 R.

Wszelako, podkreślając jednolitość i nieugiętość charakteru w Czarnowskim, jako w człowieku, który do końca życia stał w szeregu walczącej demokracji polskiej, nie powinniśmy zapominać o dorobku jego myśli, o prawdzie jego badań, o wynikach jego poszukiwań naukowych. Pożegnaliśmy trumnę przyjaciela: opuścił nas towarzysz naszych trosk i zmagań. Odszedł człowiek, tak; ale pozostała po nim myśl. Myśl, zdolna żyć i działać nadal. Myśl, która jest dalszym ciągiem człowieka. Myśl, będąca tą cząstką indywidualności, która promieniuje i działa jeszcze wtenczas, gdy reszta rozsypuje się w proch.

Jeśli chodzi o myśl naukową Czarnowskiego, to zasługuje ona na przypomnienie i przedstawienie tym żywsze, że najściślej wiązała się zawsze z jego czynną postawą wobec ludzi i rzeczy. Naprzekór temu, co potocznie a powierzchownie o autorze „Św. Patryka" mówiono, zlekka żartując z egzotyzmu jego zainteresowań, Czarnowski badacz był nieustępliwym współpracownikiem Czarnowskiego obywatela, żołnierza i społecznika. Tylko naiwne oko mogło posądzać go o to, że dziedzina studiów naukowych by-

ła dlań schronem przed tragizmem rzeczywistości. W istocie rzeczy Czarnowski był jednym z niewielu uczonych, w których między teorją a praktyką życia żaden nie otwiera się rozstęp. Inne, rzecz prosta, probierze uznawał za obowiązujące w dociekaniu prawdy naukowej, inne — w urzeczywistnianiu dobra społecznego, ale cel i tu i tam przyświecał mu jeden. Autor źródłowej monografii o życiu bohatera narodowego i patrona Irlandii nie był szperaczem archiwalnym, któryby treść życiai grzebał pod stosami starych pergaminów. Czarnowski był synem swojej doby dziejowej. Był struną drgającą i wrażliwą na wszystkie wołania teraźniejszości.

Jeśli cofał się wgłąb dawnych kultur, jeśli pochylał się nad zaklęsłymi cmentarzyskami Celtów antycznych, jeśli docierał do kolebki pierwotnego chrześcijaństwa, to w tym celu, aby zyskać niezbędne punkty wyjścia i podstawy dla otwarcia sobie właściwej perspektywy w poglądach na dzieje i losy naszej kultury. Perspektywizm historyczny był w jego umysłowości ugruntowany wiedzą tak głęboką i konkretną, że stał się w nim jakby nowym zmysłem spostrzegania zjawisk w ich rytmie rozwojowym, w ich wzajemnym do siebie ustosunkowaniu.

Ten historyk kultury był istotnie mistrzem diagnozy społecznej, podchodzącym do każdej osobistości, sprawy czy obyczaju z doświadczeniem wytopionym z kilkunastu stuleci. Ów repertuar stuleci, pozwalał mu na niedościgłe dla innych skojarzenia i rozłączenia wyobrażeń, na przedziwne spotkania i konfrontacje, z których tryskały nagle olśniewające objaśnienia. On to, ów podręczny repertuar historii, skondensowany do stałego użytku, czynił z prof. Czarnowskiego tak czarującego partnera rozmowy; on sprawiał, że każda jego opowieść zmieniała się w wykład lecz nigdy w kazanie.

Cóż to znaczy zrozumieć i wytłumaczyć jakąś rzecz lub zjawisko? Najczęściej znaczy to tyleż, co ulokować je we właściwym szeregu. Otóż, Czarnowski był niezrównanym lokalizatorem. Z nieopisaną pewnością oka i ręki umiał on wskazać ludziom i przedmiotom, formom i typom społecznym miejsca, należne im w hierarchii rozwoju, w porządku wartości, w rodowodzie cywilizacji.

Na jakieś parę tygodni przed zgonem był, przypominam sobie, prof. Czarnowski w pewnym gronie przyjaciół, rozprawiających o tragikomedii dni dzisiejszych. Mówiono o rozpanoszonym obecnie typie fałszywego patrioty, który z wyznania i reklamy swego patriotyzmu czyni już nie tylko zawód, ale proceder. Zdumiewano się arogancji z jaką ten właśnie typ narodowego fałszu i zakłamania sięga po patent na wychowawcę i mistrza młodzieży.

— Typ jest rzeczywiście bezwstydny — wkroczył nagle w rozmowę Czarnowski — ale, na Boga! nie mówcie, panowie, że jest nowy! Typ taki znany był już gminie chrześcijańskiej w II i III wieku po Chrystusie i gorzkimi słowy jest upamiętniony w najwcześniejszych kronikach kościoła. Był to typ fałszywego wyznawcy i męczennika, rekrutujący się z pośród łazików, nicponiów i opryszków ówczesnego świata. Taki brat-łazik szedł naprzód do municypalnych władz rzymskich i tam, stwierdzając swą wiarę w Chrystusa, pod wszelakim pozorem wyjednywał sobie porcję urzędowych batów. Nazywało się to, że „złożył świadectwo prawdzie", że przeszedł próbę prześladowań".

— I z tym świadectwem?...

— Z świadectwem takim, wypisanym na skórze a często potwierdzonym oficjalnie, szedł nicpoń do miejscowego biskupa, szafarza dóbr materialnych gminy chrześcijańskiej i domagał się, aby odtąd wzięto go na utrzymanie, jako ofiarę męki, poniesionej dla „chwały bożej".

Ten rodzaj pasorzyta — dodawał Czarnowski — odradza się zawsze na przełomie czasów, gdy nowa „wiara" sięga po władzę a zwłaszcza gdy zaczyna porastać w dostatek materialny.

Czyż zestawienie takie, samo przez się, nie jest snopem światła, rzuconym na omawiane zjawisko?

Ale myliłby się ten, ktoby Czarnowskiego, polegając na zasłyszanej rozmowie, zaliczył do tak pospolitego w Warszawie gatunku kolekcjonerów i dostawców anegdoty, operujących efektem dla efektu. Nikt w dziedzinie badań historycznych nie był sumienniejszym i surowszym od Czarnowskiego miłośnikiem dyscypliny i metody naukowej, podporządkowywającej wszelkie względy uboczne jednej zasadzie: zasadzie poszukiwania prawdy przedmiotowej.

Dochowanie wierności tej zasadzie, gdy zważy się specjalny teren studiów autora „Świętego Patryka", nie było rzeczą łatwą. Terenem tym był w znacznej mierze teren religioznawstwa, zagadnienie źródeł i rozwoju wierzeń religijnych, przede wszystkim zaś wczesnych faz chrześcijaństwa, a więc teren zazdrośnie strzeżony przez urzędowe kapłaństwo, bynajmniej nie grzeszące nadmiarem tolerancji i ściśle sprzymierzone dzisiaj z instancjami władz politycznych i pieniężnych.

Aby w pełni ocenić w Czarnowskim niezłomną postawę badacza, wyższego ponad wpływy koniunktury, wystarcza zestawić go z takim, dajmy na to, filologiem wielkiej miary, ale i wielkiej dyplomacji mistrzem, jak sławny Tadeusz Zieliński. Obaj zasłynęli, jako tytani wiedzy w zakresie znawstwa kultu antycznych bogów i herosów; obaj zyskali świetne imię w Europie ,obaj celowali darem przedstawiania swych plonów w klarownej formie literackiej. Ale jakaż między nimi odległość i różnica w postawie, stanowiącej o prawości intelektualnej badacza! Odległość, rzekłbyś, równa tej, która klimat nadsekwański, w którym dojrzewał umysł Czarnowskiego, dzieli od klimatu dawnej carów stolicy nad Newą, gdzie rozkwitał Zieliński. Gdy Czarnowski nie zna w swej pracy nakazów innych poza tymi, które wynikają z metody badawczej, Zieliński chyli czcigodną głowę posłusznie przed każdą barierą władzy; naukowy bagaż swój pozwala rewidować na niejednej komorze celnej, przezornie wyzbywając się tego, co jest w danym środowisku niedość dobrze widziane. Dyskretne zabiegi, które ten dostojny konformista podejmuje, aby zawsze i wszędzie być w zgodzie z panującą opinią; aby wyznanie panujące wygrodzić z pola badań obiektywnych — przynoszą zaszczyt jego zmysłowi życiowego taktu, ale jakże często całe rozdziały jego książek, bezspornie imponujących,cofaja nie tylko poza Loisy'ego i Guigneberta, Goguela i Eislera, ale poza Nietzschego i Renana. Ani bowiem Nietzsche, ani Renan nie wyłączali chrześcijaństwa z ogólnego cyklu, stanowiącego historię wierzeń religijnych ludzkości. Nie przerzucali źródeł jego w świat nadprzyrodzony. Renan ze swej stylizacji proroka galicyjskiego uczynił nieznośną dla nas powieść sentymentalną, ale nie próbował czynić z niej świadectwa

swej prawomyślności. Zieliński, jeśli wśród ruin Akropolu potrafi być współcześnikiem Peryklesa, jeśli na odkopaliskach Delf czuje się kapłanem Apollina, to w dawnych salonach Petersburga bez rozterki dźwigał wieńce i zaszczyty moskiewskie, w progach Watykanu był papistą, w Uniwersytecie J. P. jest piłsudczykiem, w auli katolickiego uniwersytetu w Lublinie — przykładnym polskim klerykałem.

Tej to sztuce konformizmu — i transformizmu — obcy był prof. Stefan Czarnowski. Zielińskiemu przeciwstawiała go nie tylko rdzenna łączność z glebą macierzystą, ale i kierunek studiów, które legły u podstaw jego pojmowania świata. Gdy Zieliński wsparł się na filologii niemieckiej, przykrojonej do swoistych wymagań carskiej pedadogii rosyjskiej, Czarnowski wykształcił i rozwinął swój umysł w tradycjach geniuszu francuskiego. Wyszedłszy z założeń socjologicznej szkoły E. Durkheima, nie poprzestał na jego doktrynie pozytywistycznej, która rychło wydała się mu zbyt ciasna. W swych badaniach samodzielnych poszedł wszerz i wgłąb. Wchłonął i przetrawił krytycznie najcenniejsze zdobycze materializmu historycznego, którego uroszczeń nie przeceniał, lecz umiał cenić usługi. Bliższy Crocego, niż Marxa, pojmował historię, jako przebieg, w którym ludzkość dojrzewa do uświadomienia sobie własnego człowieczeństwa. W przebiegu tym fakt ekonomiczny jest czynnikiem rozwoju podstawowym, ale nie jedynym. Niemniej ważna, jako dźwignia rozwoju jest idea, dająca wzór życia jednostce, i dająca wzór życia społeczeństwu — związkowi jednostek.

— Idea — uczył Czarnowski — z chwilą, gdy zostanie sformułowana, działać poczyna samodzielnie. Jest ogniskiem, wkoło którego skupiają się siły społeczne. Jednocześnie wyznacza kierunek ich działania. Wywołuje prąd czynny. Ten, w miarę swego wzbierania i w miarę, jak zjawiają się potrzeby nowe, oddziaływa na ideę, z której wziął początek, zmienia treść jej i postać. W końcu idea dotychczasowa zanika, a na jej miejsce pojawiają się nowe. Idee nie są wieczne. Rodzą się, działają i giną. Są prawdami swojego czasu, nie przydatnymi na nic w czasach innych. Lecz w swoim czasie są potęgami.

W przedstawianiu rozwoju tych idei - potęg, idej — sił społecznych, Czarnowski był jednym z największych mistrzów naszej doby.

Wspaniałym tego mistrzostwa pomnikiem pozostaną jego „Idee Kierownicze Ludzkości", wydane w r. 1928 w Bibliotece Samokształcenia, a dziś na nową czekające edycję, jako rzecz, która z każdym rokiem coraz aktualniejszej nabiera żywotności. Treściwa i kapitalna ta praca pokazuje, jak w krótkim szkicu zawrzeć można genealogię naszej kultury: tej kultury, która odziedziczywszy puściznę antyku, „od prawa Boga poprzez prawo stanu, prawo jednostki i prawo królów doszła do sformułowania prawa człowieka i obywatela oraz prawa narodu". Będąc pomnikiem myśli twórczej i oryginalnej, książka ta pozostanie również i osobistym pomnikiem jej autora. Nie tylko bowiem jako myśliciel i pisarz, ale też jako człowiek, Czarnowski był jednym ze szczytowych wcieleń naszej kultury a jednocześnie jej żywym rodowodem.

W. RZYMOWSKI.

Komitet uczczenia pamięci prof. St. Czarnowskiego

W sobotę, 8 stycznia odbyło się w „Zakładzie Socjologii i Historii Kultury" U. J. P. posiedzenie organizacyjne komitetu Uczczenia Pamięci Profesora Stefana Czarnowskiego. W skład Komitetu weszli: profesorowie Handelsman, Szymanowski, Arnold, Bystroń, Kotarbiński, Chałasiński; Docenci: Zmigryder - Konopka, Ossowski, dyr. dr. Grzegorzewski, dr. Balsigerowa, Freyd (jako przedstawiciel Stow. „Szklane Domy"), wizytator Wojeński (jako przedstawiciel Związku Nauczycielstwa Polskiego), p. Wojeńska (jako przedstawicielka „Nowej Biblioteki Społecznej"), inż. Kruszewski, dr. Bardach. Na przewodniczącego Komitetu wybrano prof. Szymanowskiego, na sekretarzy dr. Assorodobraj i dr. Bardacha. Uchwalono otworzyć w „Robotniku" listę składek na „Fundusz stypendialny im. prof. Stefana Czarnowskiego". Wybrano dwie komisje dla zorganizowania Akademii Naukowej i Społecznej Sekretariat komitetu mieści się w „Zakładzie Socjologii i Historii Kultury" Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego (Warszawa, ul. Krak. Przedmieście 26-28).

Jak widać z załączonej listy składek na fundusz stypendialny im. prof. St. Czarnowskiego, pierwsze ofiary już napływają, a mianowicie złożyli: Szymanowscy 10 zł., Wojeńscy 10 zł., Bystroń 20 zł, Kotarbiński 15 zł., Bardach 10 zł, H. Tenenbaum 5 zł., St. T. Kruszewski 15 zł.

Do listy powyższej redakcja „Epoki" dołącza swoją ofiarę zł. 10.

O co im naprawdę chodzi?*)

Młodzież nasza nie może być inna, niż społeczeństwo, które ją wydało. A że w społeczeństwie naszym nurtują prądy ideologiczne różne i sprzeczne, musimy mieć wśród młodzieży zarówno nacjonalistów, jak socjalistów, zarówno sanatorów, jak ludowców, zarówno religiantów, jak bezbożników, z przewagą, rzecz prosta, prądów, właściwych środowiskom, z których pochodzi większość młodzieży. Niema w tym nic gorszącego, przeciwnie, jest nawet objawem zdrowym, że poszczególne odłamy ideowe młodzieży walczą z sobą. Nie jest nawet żadnym szczególnym nieszczęściem, gdy uniesieni temperamentem młodzieńczym przeciwnicy przekraczają granicę, dzielącą argument rzeczowy od argumentu ad hominem, gdy od przekonywania się wzajemnego przejdą do obelg, a niekiedy do skądinąd ubolewania godnych bójek.

Ale czymś innym zgoła jest wybieranie sobie terenu akademickiego za teren próbnych rozgrywek politycznych, wybieranie go sobie dlatego, że nadużу-

*) Artykuł powyższy jest fragmentem z pism zmarłego profesora Czarnowskiego, ogłoszonych już drukiem. Dajemy go z uwagi na jego niewygasającą żywotność.

cia związane są z mniejszym ryzykiem dla sprawców, że „zwycięstwa", same w sobie bagatelne, są wyzyskiwane agitacyjnie, że dzięki rozgłosowi, który towarzyszy każdemu najdrobniejszemu zajściu w szkołach akademickich, byle stłuczona szyba urasta do godności symbolu, a byle po ojcowsku przez władze akademickie napomniany student staje się czymś w rodzaju bohatera.

Są liczne dowody, że tak jest, że faszystowskie grupy polityczne wygrywają poprostu młodzież dla swoich celów. Grupy te nie mają, rzecz prosta, nic wspólnego z życiem szkół akademickich i nie pomylimy się chyba, sądząc, że w gruncie rzeczy jest im zupełnie wszystko jedno, czy katedry profesorskie obsadzone są przez ludzi pochodzenia żydowskiego, czy t. zw. aryjskiego, tak samo, jak wszystko im jedno, czy w audytoriach żydzi siedzą osobno, czy przemieszani z chrześcijanami. Ale dla tych z natury rzeczy „kadrowych", inteligenckich grup teren akademicki jest jednym z głównych terenów werbunku. Chodzi o to, by przyszli urzędnicy, nauczyciele, adwokaci i lekarze byli „narodowcami". Jest przytem rzeczą drugorzędną, czy naprawdę nauczą się czegoś, czy też nie. Owszem, im mniej wyrobią w sobie zmysłu krytycznego, tym posłuszniejszymi będą przywódcami, i im większą rolę w ich życiu młodzieńczym grać będą namiętności usymbolizowane w prostaczych hasłach, tym lepiej. Widzimy przeto od szeregu lat, jak młodzież jest agitowana w kierunku czysto manifestacyjnym. To żąda się dekorowania audytoriów krzyżami. To rzuca się hasło pielgrzymki. Urządza się nabożeństwa. A w przerwach między tymi „czynami" obija się żydów i zatruwa się personel urzędniczy gazami. Aby tylko odwrócić uwagę młodzieży akademickiej od spraw naprawdę jej bliskich, zarówno od spraw materialnych, jak od myślenia o studiach. Jeśli zaś jakaś obchodząca naprawdę olbrzymią większość młodzieży, akcja podjęta zostanie przez młodzież samą, bez interwencji zewnętrznej i jeśli ta akcja ma widoki powodzenia, to się ją zwalcza póki się da, poczem ze zręcznością prestidigitatorską eskamotuje się jej hasła, aby ją tym lepiej sabotować i podniecić do nowych ataków na żydów i na „lewicę". Tak właśnie dzieje się na naszych oczach z akcją antyopłatową. Oto w skróceniu strona wychowawcza panoszącej się w szkołach akademickich demagogii faszystowskiej.

Ma ona jeszcze i drugie oblicze, czysto polityczne. Inspiratorom „narodowego" ruchu młodzieży chodzi o osiągnięcie celów bezpośrednich. Określić je można jednym zdaniem: chodzi o doprowadzenie do absurdu wszelkich urządzeń, wszelkich instytucyj, wszelkiej wogóle organizacji życia zbiorowego, o ile nie są one w ręku faszystów nacjonalistycznych. W tym celu usiłuje się sparaliżować ich działanie. A że funkcjonowanie szkół akademickich sparaliżować jest łatwo, i że sabotowanie ich jest mniej niebezpieczne, niż jakiejkolwiek instytucji; że przy tym oczy znacznej części społeczeństwa, a w każdym razie oczy inteligencji są na nie zwrócone, szkoły te są od dłuższego czasu przedmiotem ataku. Każde zawieszenie wykładów, tym bardziej każde zamknięcie uniwersytetów i politechnik jest dla inspiratorów akcji pożądane. Nie kryją się z tym. Każda bowiem przerwa w funkcjonowaniu tych zakładów uderza boleśnie w szerokie rzesze młodzieży i rodzin. Liczy się więc na to, że pójdą one na rękę ruchowi, że protestować nie będą, czy to z obawy przed odpowiednio „rozgrzaną" opinią, czy to ze względu na grożące im straty materialne, czy to wreszcie dla „świętego spokoju". Wszak wielu z powołanych do strzeżenia wolności i pomyślnego biegu studiów nie przeciwstawia się skutecznie rozwydrzonej agitacji dla „świętego" spokoju. Dlaczegóż miałaby się im przeciwstawić potulna rzesza ubogich studentów i studentek, których jedynym pragnieniem jest ukończyć studia jaknajprędzej — studia, nierozdzielnie wiążące się dla nich z głodem, z bieganiem po źle płatnych „korkach", z wnoszeniem niezliczonej ilości tak często bezskutecznych podań o stypendia, o odroczenia czesnego, o ulgi? Dla tej rzeszy każda przerwa w studiach jest równoznaczna z groźbą zupełnego ich porzucenia. A nie znajduje ona nigdzie obrony. Faszyści liczą więc na to, że uzyskają, jeśli nie jej poparcie, to przynajmniej milczącą zgodę na ich wyczyny. Gdyby zaś to nie udało się, niech odejdą ubodzy koledzy! Przecież to tylko synowie i córki robotników, chłopów, biedoty żydowskiej. Poco się pchają? Przeznaczeni są przez naturę na materiał, nie na przywódców przyszłych rządów faszystowskich.

Tkwi w tym głęboki tragizm, socjalny, obok tragizmu, tkwiącego w burzeniu kultury duchowej i w poniżaniu jej przybytków.

STEFAN CZARNOWSKI

Machiawele i ludożercy

Już w zeszłym n-rze naszego pisma zwróciliśmy uwagę Czytelników na książkę Aldousa Huxleya „Nad zatoką meksykańską", przełożoną przez St. Rayską - Kuszelewską a świeżo wydaną nakładem J. Przeworskiego. Obecnie z tej mądrej książki świetnego pisarza angielskiego podajemy garść wybranych uwag i myśli, jako pobudkę i zachętę do zapoznania się z całością dzieła.

EPOKA.

OFIARY WŁASNEJ PROPAGANDY

Teoretycy lewicowi uważają za pewnik, że dopóki istnieje zysk prywatny, póty co pewien czas wybuchać muszą wojny.

Ale jest to oczywiście niesłuszne.

Gdyby kapitaliści pragnęli wyłącznie jak najbardziej wyzyskać swoje ofiary (oby mieli ten rozum!) nie marnowaliby pieniędzy na walkę między sobą; starali by się wynaleźć najlepszy sposób wyssania jak największego zysku z całej kuli ziemskiej. Fakt, że tego nie czynią, albo czynią nie sprawnie i dorywczo, dowodzi, że wyzyskujący są w równej mierze jak wyzyskiwani niewolnikami nacjonalizmu.

Posiadają i stosują narzędzia propagandy, ale pierwsi wierzą w rozpowszechniane przez samych siebie niedorzeczności i pierwsi wedle nich postępują. Ci Machiawele nie potrafią dostrzec tego, coby im mogło dać największe korzyści.

NIEWOLNICY NACJONALIZMU

Nie ulega wątpliwości, że pokój i międzynarodowość opłacają się; wojna zaś

w obecnej skali musi koniec końców uderzyć w kapitalistów, którzy ją wywołują.

Pomimo to nie przestają jej wywoływać — i wierzą, pod osłoną peatriotyzmu, że robią to we własnym interesie. Wywołują wojnę, aby zwiększyć zyski osiągane z danego systemu gospodarki narodowej, a tym samym obniżyć zarobki kolegów - kapitalistów z systemów współzawodniczych. (Nacjonalizm nie sprzyja interesom gospodarczym eksploatatorów, ale stwarza pewne szczególne zarobki monopolistyczne, które do pewnych granic usprawiedliwiają kapitalistów w ich nawoływaniu do wojny dla zarobku).

FILOZOFIA NIENAWIŚCI

Nacjonalizm jest tą filozofią, która usprawiedliwia wszelką zbyteczną i sztuczną nienawiść.

KOLONIE, JAKO KLAPA BEZPIECZEŃSTWA

W dawnych czasach ludzie gwałtownego temperamentu mogli bez trudu znaleźć okazję do rozbijania sobie łbów w wyprawach krzyżowych, pojedynkach, korsarstwie, a nie tak dawno jeszcze w wyprawach odkrywczych i przygodach kolonialnych.

Niestety, to ostatnie ujście dla nadmiaru energii zostało ostatnimi czasy zamknięte — w niektórych wypadkach zamknięte było zawsze. Niemcy naprzykład, nie mają kolonii, służących za klapę bezpieczeństwa dla bardziej awanturniczych młodzieńców.

Może dlatego właśnie Hitler znalazł ich tylu na ulicach Monachium i Berlina?

Żydzi i komuniści płacą za aneksję Tanganajki i Afryki niemieckiej południowo - zachodniej. Dostarczają oni narodowym socjalistom czegoś w rodzaju kolonii... w każdej kamienicy.

PRZYWÓDCY TŁUMU

Wszyscy powojenni przywódcy tłumu prowadzili tę samą politykę: organizowali igrzyska polityczne w celu odwrócenia uwagi ludu od głodu i panoszącej się niepewności społecznej.

Nie mogąc napełnić chlebem pustych żołądków, próbują zapełnić puste głowy chorągiewkami, mowami, orkiestrą wojskową i zbiorową histerią.

DOGMATY NOWO-GŁUPICH

Nauczanie powszechne stworzyło ogromnie liczną klasę ludzi, których nazwałbym nowo - głupimi, spragnionych prawdy i pewności a jednak nie umiejących ich znaleźć ani w tradycyjnych legendach, ani we własnych rozumowaniach.

Pragnienie prawdy było w nich tak palące, że zamiast dogmatów religijnych przyjęli (z jakże namiętną wdzięcznością) pseudo - religijne dogmaty nacjonalizmu.

Są one oczywiście fałszywsze i zwodniejsze niż dogmaty religijne, jednakże dla nowo - głupich posiadają tę niezmierną zaletę, że operują wartościami widzialnymi, nie zaś oderwanymi.

Nacjonalizm nie jest pouczeniem o Bogu, którego nikt nie widział. Jest teorią, dotyczącą określonego kraju i jego mieszkańców z krwi i kości. Teoria jest oczywiście fałszywa; ale to nic nie szkodzi.

Dla nowo - głupich ważny jest tylko fakt, że przedmiot owej teorii jest rzeczywisty.

BUNT PRZECIW CYWILIZACJI

Ruch narodowo - socjalistyczny jest buntem przeciwko cywilizacji Zachodu.

W celu utrwalenia tego buntu przywódcy robią co mogą, aby ukształtować nowoczesne społeczeństwo niemieckie na obraz i podobieństwo pierwotnego plemienia. Jednorodność wymuszona jest na ludziach, którzy cieszyli się błogosławieństwem bogactwa odmian.

Umysłowo i uczuciowo Niemcy dzisiejsze stają się tak dalekie Europie Zachodniej, jak Nowa Gwinea.

Ostatnią i może najpoważniejszą przeszkodą do upodobnienia się człowieka cywilizowanego ze społeczeństwem pierwotnym jest postawa naukowa. Lecz filozofia faszystowska załatwia się krótko z „postawą naukową". Powinnością każdego faszysty, wedle obowiązującego dogmatu, „nie jest wyszukiwanie jakiejś prawdy przedmiotowej, która sprzyjałaby innym, lecz nieustanne służenie własnej prawdzie".

Etyka ludożerców doczekała się usprawiedliwienia w filozofii paranoików. Miejmy nadzieję, że skutek będzie niezmiernie g e m ü t l i c h.

ŚLEPI MACHIAWELE

Kapitaliści wywołują wojnę albo jej groźbę na machiawelskiej zasadzie, że niebezpieczeństwo czyhające poza granicami kraju daje rządzącym doskonałą sposobność do wzmocnienia swego stanowiska wewnątrz kraju.

Dla tej to przyczyny wszyscy powojenni dyktatorzy dzwonią na alarm i brząkają szabelką.

Fakt, że każdy naród boi się swego sąsiada, utwierdza siłę władcy, który akurat przypadkowo sprawuje rządy.

Czym-że jednak jest owa siła w porównaniu z siłą, jaką przedstawiałaby oligarchia władców świata? Jak-że nędzne są zyski, osiągane w systemie nacjonalistycznym, wobec zysków, jakie by mógł dawać gospodarczy układ wszechświatowy!

Poza tym dzisiejsza wojna przynosi oczywistą ruinę życia gospodarczego i rozkład ładu społecznego. Daleki od bogacenia się i wzmacniania swej potęgi dzięki wojnie na dzisiejszą skalę, władca kapitalistyczny traci raczej w burzy wojennej większość posiadanych zasobów i sił.

Pomimo to władcy nasi upierają się (ku własnej swej szkodzie) aby polityczny i gospodarczy ustrój świata opierał się na nacjonalizmie. Zyskowna i bezpieczna międzynarodowość jest stale odrzucana.

Dlaczego?

Dlatego, że wszyscy rządzący nami kapitaliści związani są wspólną teologią namiętności, która nie pozwala im skalkulować rozsądnie własnych zyskow i strat.

MYŚLICIEL W OKOPACH WOJNY

Podobno Alain*) odpowiedział kiedyś koledze żołnierzowi, który w okopach skarżył mu się na udręki wojny:

— Użyłeś dość uciechy przed tym; wykrzykiwałeś „niech żyje armia!" albo „niech żyje Alzacja i Lotaryngia!" Za to trzeba płacić. Trzeba płacić śmiercią!

ZA TO SIĘ PŁACI

Upajająca radość wrzeszczenia wraz z tysiącznym tłumem: „Deutschland, Deutschland über alles" ma swój bardzo szybki kres. Wrzask taki jest prawie tak przyjemny, jak akt miłosny, ale to, co następuje później, kończy się najczęściej udręką, bólem i śmiercią. Za to trzeba płacić.

„PODŚWIADOMA EUROPA"

Dr. Vergin twierdzi**), że wojna jest ucieczką przed hamulcami cywilizacji... Daremnie wołać — pisze — o wyższy poziom moralności chrześcijańskiej, a jednocześnie głosić pokój".

Ograniczenia etyczne wymagają odwetu. To nie tylko prosty zbieg okoliczności, że np. we Francji najgwałtowniej szowinistyczne są właśnie stronnictwa, stojące najbliżej katolicyzmu.

Wszystkie stronnictwa europejskie o orientacji chrześcijańskiej są zasadniczo po stronie wojen, ponieważ napór psychiczny powściągów etyki chrześcijańskiej pcha ludzi nieodparcie do szukania użycia i ulgi w nienawiści.

Oto pokrótce teoria dra Vergina. Zaletą jej jest prostota. Wadą — nadmierność tej prostoty.

---

*) Znakomity pisarz francuski, którego nazwisko prawdziwe brzmi: Emil Chartier.

**) W książce: „Podświadoma Europa".

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

Maria Dąbrowska: Moja odpowiedź. Warszawa—Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza, str. 111.

Praca ta powstała z refleksji nad polemiką z „Rozdrożem", które spełniło rolę przysłowiowego kija, wetkniętego w mrowisko, wywoławszy burzę protestów, plotek, inwektyw i fałszów. W „Mojej odpowiedzi" autorka Dni i nocy stara się uporządkować najgłówniejsze wystąpienia krytyczne, a także sprostować błędne interpretacje myśli i zamiarów „Rozdroża".

Całą tę mozolną pracę Maria Dąbrowska pomieszcza w odpowiedziach na wystąpienia publicystyczne dwu osób: p. Starowiejskiej - Morstinowej, którą autorka uważa za „rycerskiego przeciwnika, gdyż wierzy w prawość jej intencji", oraz p. Ksawerego Pruszyńskiego, którego artykuł „stara się zrozumieć, jako wynik młodzieńczej lekkomyślności".

Polemika Marii Dąbrowskiej z swoimi przeciwnikami jest tak samo cichą i pełną umiaru, jak i całe „Rozdroże", a owiana jest nastrojem zasmuconego zdziwienia. Zdziwienia tym bardziej zrozumiałego, że tezy i postulaty „Rozdroża" w zakresie reformy rolnej nie grzeszyły radykalizmem i nie zmierzały do unicestwienia ziemiaństwa. Zaiste, dlatego, że Maria Dąbrowska szukała dróg i sposobów, aby ziemianie pozostać mogli na roli przy najradykalniejszej nawet reformie rolnej — „Rozdroże" zaliczone zostało przez napastniczą reakcję do literatury, torującej drogę komunizmowi. Cóż zatem dziwnego, że prowincjonalne rozzuchwalone hebesy zaliczają już nawet „Chłopów" Reymonta do literatury wywrotowej i popisują się tymi odkryciami publicznie na rozprawach sądowych?

Maria K. Mikulska: Odwet. Powieść. Wydawnictwo F. Hoesicka.

Sporo fragmentów tej powieści mówi o talencie pisarskim. Znajdujemy tu stronice bardzo silne, te w których autorka zdobywa się na zwartość słowa. Wówczas i sama fabuła i forma rzeczy wywołują głębokie, chwilami nawet wstrząsające wrażenie. Niektóre jednak rozdziały grzeszą rozwlekłością, w stylu — nadmiar synonimów, niejeden zwrot powtarza się wielokrotnie i stąd — pewna monotonia. Wiele stron dałoby się usunąć z korzyścią dla całości.

Powieść Marii Mikulskiej ma gorącą temperaturę moralną i ton głęboko ludzki — to jej walor największy.

Jan Wende: Drogi człowiecze. Powieść. Wydawnictwo F. Hoesicka. Warszawa 1938.

Jest to jeden z najbardziej pomyślnych debiutów literackich ostatnich czasów. Historia strajku w niewielkiej fabryce, strajku, w którym oprócz robotników bierze również udział „personel biurowy", składający się z trzech osób. W ogniu wspólnej walki odbywa się przemiana psychiczna zabiedzonych „inteligentów". Od niechętnej obojętności w stosunku do „chamów", poprzez solidarny udział w walce o wspólne żądania, dochodzą do zrozumienia swojej własnej przynależności do obozu świata pracy i walki o sprawiedliwość społeczną.

Cały szereg doskonale scharakteryzowanych typów ze środowiska robotniczego i drobnomieszczańskiego, zwarta konstrukcja powieści i logiczne, celowe rozplanowanie elementów fabuły powieściowej, świadczy, że autor po za niewątpliwym talentem włożył w swoją książkę dużo rzetelnej pracy.

Bronisław Malinowski: Życie seksualne dzikich w północno - zachodniej Melanezji. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Nareszcie słynne dzieło Bronisława Malinowskiego w przekładzie polskim. Pierwsze wydanie tej pracy ukazało się w języku angielskim dziewięć lat temu i zdobyło ogromny rozgłos w świecie naukowym. Tłumaczone na kilkanaście języków stało się jedną z największych sensacyj naukowych w dziedzinie socjologii wogóle, a socjologii kultur prymitywnych w szczególności. I oto dopiero teraz dzieło Polaka, uczonego wszechświatowej sławy, profesora antropologii na Uniwersytecie Londyńskim, ukazuje się po polsku! No cóż? Lepiej późno, niż nigdy, choć trudno wymienić w Europie kraj, w którym tak głośna praca rodaka zjawiałby się w języku ojczystym dopiero po 9-ciu latach.

Notujemy narazie dobre wydarzenie: Czytelnik polski może już poznać dzieło kapitalne, które zmusiło do gruntownej rewizji niejednej z podstawowych tez socjologicznych. Obcujemy tu z wielkimi umysłami i niezależnym sądem o wielu najistotniejszych sprawach rodzaju ludzkiego.

Refleksy faszystowskie w Rosji Sowieckiej

Na Moskwę, w której dn. 12 b. m. zebrała się na pierwsze posiedzenie „Rada Najwyższa" Z.S.R.R., znów zwrócone są oczy krytyczne całego świata. Wiemy dobrze, czym były wybory sowieckie i co wyraża owa przygniatająca większość poselska (tylko 2% wyborców ośmieliło się głosować przeciwko liście rządowej), która się z nich wyłoniła: poczęła się ona z woli Stalina i posłuszna będzie jego rozkazom. Jak w totalistycznych ustrojach Zachodu, tak samo w totaliźmie wschodnim rzekome przedstawicielstwo narodowe powołane jest do tego, aby rzeczywistość społeczną nie tyle odzwierciedlać, ile przesłaniać i maskować.

Ale co dzieje się poza tą maską urzędową? Pismo nasze, informując o życiu Rosji, dąży do jak największego obiektywizmu i w dążeniu tym szuka źródeł, dających pewne rękojmie bezstronności. Źródła takie, sądzimy, leżą najpewniej w Ameryce, która na eksperyment rosyjski patrzy po przez odległość Oceanu. Stany Zjednoczone są zarazem tym państwem, które obok Polski najściślej jest zainteresowane w tym, aby mieć o Rosji obecnej pojęcie niesfałszowane nalotem żadnej doktryny. Poważna polityczna prasa amerykańska — a na jej czele źródłowy kwartalnik „Foreign Affairs" — pisze o Sowietach dużo i rzeczowo. Zwracaliśmy już w EPOCE (nr 21, r. ub. „Tajemnica Rosji") uwagę naszych Czytelników na kapitalny artykuł, który w nadmienionym kwartalniku (październik, 1937) poświęcił najnowszej polityce Stalina wytrawny badacz i znawca rzeczy rosyjskich, ukrywający się pod pseudonimem Balticus. To, co Czytelnicy znajdą poniżej, jest streszczeniem dalszego ciągu spostrzeżeń i wywodów tegoż bystrego obserwatora. Wywody te przekonają niejednego, że jeśli chodzi o Rosję Sowiecką, żadna, najfantastyczniejsza o niej pogłoska, nie będzie taką sensacją, jak zwykła i prosta... prawda.

EPOKA

Starając się zrozumieć to, co się dzieje w Rosji, należy z góry wyrzec się wszelkich gotowych formuł i kryteriów, mogących oddać usługi przy badaniu państwa o trybie życia normalnym, państwa posiadającego właściwą obronę, lojalne wojsko, ustalone prawa i zagospodarowaną cywilizację. W Rosji wszystko jeszcze jest nowe: w oczach obserwatora wypraco-

wywa się nowe państwo i nowe społeczeństwo, dla których napróżno szukalibyśmy w dziejach odpowiednika. Przyszłość państwa rosyjskiego będzie — sądzimy — wypadkową ślepych sił historycznych. Ich też dziełem były owe dotychczasowe wielkie zygzaki ewolucji sowieckiej, z których każdy ociekał krwią, każdy był okupiony haraczem ofiar ludzkich.

Bezpośrednie, natomiast, najbliższe jutro Rosji zależy od dwóch czynników: od partii komunistycznej, a raczej Józefa Stalina i od charakteru oraz postawy nowego pokolenia sowieckiego.

STALIN: „WŁADZA PRZEDE WSZYSTKIM"

Co do Stalina, to osobiście skłonny jestem mniemać, że piastuje on nadal ideał społeczności bezklasowej; że pozostał wierny Leninowi, pamiętając może lepiej od innych wskazania, szczepione przezeń rewolucjonistom: *władza przede wszystkim!* Wszelkie środki są dobre, skoro wiodą do władzy. Gdy zaś władzę się zdobędzie, wszelkie środki są dobre, aby ją utrzymać w rękach, choćby, skoro zajdzie potrzeba, wypadło wyrzec się chwilowo części programu. Czego nie wolno czynić socjal-demokratom, na to mogą pozwolić sobie komuniści. Pierwsi są w oczach Moskwy przewodnikami wpływów burżuazyjnych nawet wtenczas, gdy biorą udział w prądach rewolucyjnych; drudzy są jedynymi przedstawicielami rewolucyjnego proletariatu nawet wtenczas, gdy wchodzą w czynne przymierze z burżuazją. Pod tym względem Stalin był w zupełnej zgodzie z innymi spadkobiercami Lenina. Na każdym wszelako zakręcie rewolucji powstawały wśród nich poważne rozbieżności, dotyczące praktyki postępowania. Każdy z nich uważał siebie za jedynego prawdziwego tłumacza rewolucyjnej woli proletariatu. Każdy usiłował usunąć swych przeciwników, oskarżając ich o to, że stali się łupem wpływów burżuazji.

Tu leży klucz do stałej walki wewnętrznej i wzajemnego wyrzynania się wodzów w obrębie partii komunistycznej. A wynik? Stalin okazał się lepszym taktykiem, niż Zinowiew, Trocki i Bucharyn — oto wszystko. Częstokroć zapożyczał się on u programu swych przeciwników, ale tylko wtedy, gdy bywało to korzystne dla partii i dla niego samego. Jakkolwiek kunktator z natury, gdy raz powziął postanowienie, w działaniu nie zatrzymywał się przed niczym i nie wahał się stosować środków gwałtownych i najokrutniejszych. Pod tym względem obecny władca Rosji przypomina Piotra Wielkiego, dla którego, zresztą, pełen jest podziwu. Dzięki przyjętej przez siebie zasadzie „budowania socjalizmu w jednym kraju", potrafił on uniknąć międzynarodowych awantur, w które gotowi byli obłędnie rzucić się Zinowiew i Trocki. Z Kominternu uczynił on podatne narzędzie swej polityki. Z pomocą Woroszyłowa, Tuchaczewskiego i Reichswehry niemieckiej (nie zapominajmy o tej ostatniej: jak przedstawiałyby się siły militarne Rosji dzisiejszej bez finansowej, handlowej i technicznej pomocy Niemiec?) stworzył on potężną armię, zbudował przemysł wojenny, rozwinął pierwszorzędną żeglugę napowietrzną i podwodną, obecnie zaś buduje marynarkę morską.

W jaki sposób użyje on tej groźnej machiny wojennej?

Czy po unicestwieniu opozycji trockistów pokusi się raz jeszcze o przejęcie ich programu i wstąpi na drogę, wiodącą ku rewolucji światowej? Czy pójdzie w ślady pro-niemieckich generałów, których krew świeżą jeszcze czuje na swych rękach, i spróbuje szukać ugody z Niemcami? Odpowiedź na te pytania zależeć będzie od rozwoju ogólnej sytuacji międzynarodowej oraz od wewnętrznego układu stosunków w samej Unii Sowieckiej.

Z uwagi na ten właśnie układ stosunków wewnętrznych w swoim państwie Stalin ściśle liczyć się musi z postawą nowej generacji sowieckiej: drugim z owych dwóch czynników, które wymieniłem jako decydujące przy kształtowaniu przyszłości rosyjskiej w latach najbliższych.

NOWA ELITA ROSYJSKA

Na niesłychane trudności napotyka cudzoziemiec, chcący zrozumieć nową elitę, która obecnie obejmuje w posiadanie wszystkie placówki życia sowieckiego. Zachodnia idea wolności, tolerancji, dobroci są zupełnie obce pokoleniu, które stwardniało w straszliwych latach rewolucji i karmiło się codzień nieubłaganą propagandą nienawiści. Marksizm, azjatycki atawizm rosyjski, wrodzona natury słowiańskiej szlachetność, żądza wiedzy, podświadoma pycha narodowa, żywiołowy głód życia i twórczości — oto potężne a ścierające się ze sobą warunki i popędy, które dusze młodzieży rosyjskiej wprowadziły w nadzwyczajny wir. Wszelako ani niedobory szkół sowieckich ani ołowiana atmosfera dyktatury nie zdołały zasadniczo odmienić ludu rosyjskiego. Rosjanie są ludźmi bogato przez naturę obdarowanymi i, mimo wszelkich zastrzeżeń, mają głęboki zmysł polityczny. Czyż nie zbudowali olbrzymiego mocarstwa? Wysoce uzdolnionych ludzi nie brak i w młodym pokoleniu. Niepospolite talenty dały już znać o sobie w różnych dziedzinach technologii i nauki. Nie brak też i jednostek szczerze oddanych swemu krajowi, który pragnęłyby dźwignąć, zbogacić, uszczęśliwić. Na czym młodej generacji zbywa, to na styczności ze światem cywilizowanym, na uczestnictwie w puściźnie wiedzy abstrakcyjnej oraz swobodnym obiegu idej. Ale nawet i w tak ograniczonych szrankach, wspinając się ku szczytom nowej rosyjskiej hierarchii społecznej, ta młodzież z gleby chłopskiej i przedmieść robotniczych ujawnia nieodparte zainteresowania dla wiekuistych ducha ludzkiego zagadnień — którym komunizm tak skąpo udziela miejsca i uwagi — dla religii, dla kanonów piękna, dla rodziny. Potrafi ona w jakiś sposób dobierać się do wiedzy o stylach w sztuce, do pojęć o demokracji i o prywatnej własności. Maluczko, a sięgnie po pełnię wiedzy o Europie i Ameryce.

Zdarzyło mi się kilkakrotnie rozmawiać dość długo z przedstawicielami tej nowej elity rosyjskiej i — sądzę — nie potrzebuję szukać wymówki dla odtworzenia tutaj poglądów jednego z nich, jako dokumentu, charakteryzującego środowisko. Mój informator, człowiek lat 30 lub 35, jest synem rzemieślnika i zdobył swój dyplom inżynierski w Niemczech. Jest to prawowierny stalinowiec.

Zadałem mu pytanie na temat orientacji w rosyjskiej polityce zagranicznej, dodając, że radbym posłyszeć jego zdanie o serii najnowszych egzekucyj. Oto jego odpowiedź:

„DOŚĆ MAMY AWANTUR"

My, Rosjanie, wychodzimy z przesłanki, że wojna jest nieunikniona. Gdybyśmy mieli pewność, że pokój potrwa jeszcze choćby lat 25, polityka nasza,

w szczególności wewnętrzna, byłaby inna. Nie czynimy nic, aby wojnę wywołać; pragnęlibyśmy ją odwlec jak najdalej. Ale musimy poważnie się do niej przygotować. Nasze ministerstwo spraw zagranicznych pracuje lub jest gotowe do współpracy ze wszystkimi państwami demokratycznymi i pokojowymi. Chętnie współpracowalibyśmy także i z Włochami. Był czas, gdy Moskwa i Rzym szły ręka w rękę; zmieniło się to wszakże z chwilą, gdy Mussolini zyskał możność znalezienia bliższych sojuszników. Odtąd przyłączył się do chóru, krzyczącego o niebezpieczeństwie komunistycznym.

Oczywista, celem *ostatecznym* naszej polityki zagranicznej pozostaje i nadal likwidacja ustroju kapitalistycznego. Lecz my porzuciliśmy metody Trockiego i Zinowiewa. Dość mamy awantur. Zbyt wiele było ich w przeszłości — w Chinach, w Niemczech, w Estonii. Kosztują one za drogo. Zinowiew i Radek prawili nam baśni o potędze komunistów niemieckich. Liczbę ich szacowano na pięć milionów. Cóż stało się z tymi milionami w godzinie kryzysu? Hitler opanował ster władzy bez wystrzału. Ani jeden komunista nie stawił mu oporu. Dziś lepsze mamy informacje o rzeczywistej sile (i niemocy) komunizmu za granicą.

Pragnienia nasze dadzą się zawrzeć w niewielu słowach: chcemy, aby nas zostawiono w spokoju póty, dopóki nie zbudujemy swego społeczeństwa socjalistycznego; chcemy dźwignąć swój zaniedbany kraj, podnieść stopę życia, przeobrazić ciemnego barbarzyńskiego chłopa z dawnej ery w pracownika rolnego, stowarzyszonego w *kołchozie*. Kolosalna suma pracy wykonana być musi na każdym polu. Musimy skoczyć naprzód jak najdalej.

Przewidujemy, że państwa kapitalistyczne nie zechcą tolerować budowania ustroju socjalistycznego na obszarze, obejmującym szóstą część globu. Wiedzą one, jaki wpływ na ich własny proletariat wywierałaby taka budowa. Burżuazyjni mężowie stanu już dziś przemyśliwają o wojnie zapobiegawczej, któraby ognisko zarazy zniszczyła. Zwrócą się przeciwko nam nawet kraje demokratyczne, skoro tylko ich liberałowie i radykali ujrzą, że ich święte instytucje własności prywatnej zostały zagrożone.

W tym miejscu wtrąciłem zarzut. Powiedziałem: Atakować nie zamierza Rosji nawet burżuazja zachowawcza, dla tej prostej przyczyny, że rosyjski ustrój gospodarczy zbyt jest różny od ustroju innych krajów. Poza Niemcami i Japonią, Rosja nie ma wrogów narodowych. Rosja zyskuje innych wrogów tylko o tyle, o ile dopuszcza się pewnych rzeczy: 1) jeśli zbyt gwałtownie współzawodniczy z nimi o rynki światowe; walka ta niczym się nie różni od walki, jaką toczyć mogą między sobą kraje kapitalistyczne. 2) Jeśli miesza się w ich sprawy wewnętrzne i usiłuje metody komunistyczne wprowadzać do ich rozwoju społecznego. W tym wypadku Rosja naraża się na ściągnięcie wrogiej na siebie niechęci nie tylko ze strony wielkiej burżuazji, ale także ze strony drobnomieszczaństwa i robotników.

Młody Rosjanin odrzekł:

Pan wie, żeśmy swe metody zmienili. Musimy ogarnąć niższe klasy. Ostatnie wskazania Kominternu idą w tym kierunku, aby nie tykać drobnych dobytków indywidualnych. Nie znaczy to, że sprzeniewierzamy się sami sobie. Gdy klasa robotnicza wchodzi w otwarte starcie z faszyzmem, nie możemy uchylić się od dania jej pomocy. Wspieramy swą pomocą robotników w Hiszpanii i wspierać będziemy lud roboczy zawsze w sytuacji podobnej. Nie znaczy to przecież, ażebyśmy chcieli sowietyzować Hiszpanię. Powtarzam: jesteśmy przeciwni awanturom. Lecz imponderabilia pracują po naszej stronie. Konflikt zbrojny między proletariatem a burżuazją jest nieunikniony.

Na pytanie moje, jak tłumaczy „czystkę" Stalina, młody inżynier sowiecki odpowiedział:

Istnieją dwa równoległe prądy „czystki": jedna wymierzona przeciw trockistom, awanturnikom i szpiegom; druga — przeciw przedajnym biurokratom pasorzytom rewolucji, którzy znaleźli się na kierowniczych stanowiskach w przemyśle i zarządzie państwowym i sądzą, że im wszystko wolno.

Nie wyobraża pan sobie, ile nam krzywdy wyrządzili trockiści. Gdy Stalin postanowił zrewidować dziedzinę oświaty publicznej, cóż znalazł? Trockiści zagarnęli wszystkie posterunki oświatowe i znieśli doszczętnie nauczanie historii. Dzieci nasze miały odtąd nie znać wielkiej przeszłości swej własnej ojczyzny. A jak wyglądały trockistowskie próby pojmowania dziejów? Piotr Wielki był pijanicą, Katarzyna Wielka — zdzierą. Otóż, Katarzyna, istotnie, zmieniała kochanków, ale jednocześnie była spadkobierczynią Piotra w dziele budowania potęgi mocarstwowej Rosji. Trockiści nie mówili młodzieży naszej ani słowa o poecie rosyjskim, Puszkinie. Gdyby pozwolono im dalej iść tą samą drogą, zniszczyliby teatr i balet rosyjski, z których jesteśmy tak dumni. Zamiast idej naszych największych myślicieli rosyjskich, kolportowali doktryny, zapożyczone u austriackich lub niemieckich emigrantów. Z naszych znakomitych malarzy rosyjskich — Riepina i Surykowa, z naszego narodowego rzeźbiarza, Antokolskiego, uczyniono śmiesznych, karykaturalnych reakcjonistów. Trockiści wygnali muzykę Glinki i Borodina. Słowem, wszystko, co rosyjskie, było w ich oczach podejrzane. Ale Rosja — żyje!

Chciałem z kolei dowiedzieć się, jak w oczach młodych mocarstwowców rosyjskich przedstawia się dziwny, bądź co bądź, fakt, że ludzie, którzy byli współtwórcami rewolucji, skończyli jako szpiedzy w służbie niemieckiej lub japońskiej. Odpowiedź brzmiała:

Badając papiery i stare dokumenty, dokopaliśmy się do rzeczy nadzwyczajnych. Wielu z tych, którzy później stali się trockistami byli w styczności z niemiecką służbą wywiadowczą podczas wojny światowej. Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby pewnego pięknego dnia ogłoszono dokument, ujawniający, że w r. 1917 ktoś z bezpośredniego otoczenia Lenina był szpiegiem niemieckim. Pamięta pan historię z zaplombowanym pociągiem? Nie ma dymu bez ognia. A potem, jakże naiwnie przyjmowaliśmy z otwartymi ramionami wszystkich komunistów, wyganianych z Niemiec, Austrii i Węgier. Pokaźny między nimi odsetek, niewątpliwie, stanowili szpiedzy. Co do przywódców komunistycznych, posądzanych różnymi czasy o szpiegostwo, jak Kamieniew, Piatakow i inni, to przebaczono im dwadzieścia razy, dawano ważne stanowiska, a jednak za każdym razem na nowo podejmowali swe intrygi. Niepodobna było

przebaczać im bez końca. Trzeba było raz wyjść na czystą wodę.

TYRANI LOKALNI I EMERYCI REWOLUCJI

Jednocześnie poprowadzono walkę z innego rodzaju niebezpiecznymi charakterami; walkę, która, jak dotąd, dała częściowe tylko wyniki. Wielu lokalnych tyranów i zdzierców siedzi wciąż jeszcze niezdemaskowanych na swych urzędach. Rozprawimy się z nimi dzięki wyborom. Będziemy niemiłosierni dla tych wszystkich, którzy zarobili sobie na nienawiść ludu. Było rzeczą nieuchronną, że niejeden z administratorów padł ofiarą nieograniczonej władzy. Takiemu panu nie wystarczał już jeden samochód: musiał mieć drugi dla żony; musiał mieć willę pod miastem. Są i tacy panowie, którzy postanowili żyć ze swych wspomnień dawnej walki z caratem. Niegdyś, gdzieś tam przeżyli minutę trwogi pod nahajką kozaka, i teraz są przekonani, że to wystarcza, aby od tej drobnej przygody odcinać nieskończone kupony chwały i zaopatrzenia. Z takimi dętymi emerytami postanowiliśmy skończyć. Nam potrzeba ludzi, którzy znają się na rzeczy. Teoretyków rewolucji odsyłamy w diabły. Są i tacy, którzy marzą o nowych bojach. Śnią o tym, ażeby przed śmiercią dowodzić dywizją armii rewolucyjnej w Anglii lub we Włoszech. I tych również odsyłamy w diabły!

„PARTIE POLITYCZNE... GAZETY? — I POCÓŻ TE RUPIECIE?"

Zapytałem: czy nie sądzi on, że zamiast walczyć z korupcją w drodze terroru, stosowanego z góry, prościej byłoby przywrócić wolność prasy i dać ludowi możność sprawowania kontroli nad rządem? Młody wyznawca Stalina odparł:

Co? Chciałbyś pan przywracać partie polityczne? zakładać gazety? I pocóż te rupiecie? My nie chcemy mieć u siebie zamętu, który widzimy w tylu krajach Europy, gdzie żre się między sobą dwanaście partyj. My otoczeni jesteśmy nieprzyjaciółmi. My nie możemy pozwolić sobie na to, aby gadać o zasadach. My rządzimy narodem o 170 milionach i musimy naród ten utrzymać w ryzach porządku.

DO CZEGO SŁUŻĄ TROCKIŚCI?

Starając się wiernie a zarazem jak najzwięźlej ująć kierunek polityki wewnętrznej Stalina, powiedziałbym, że naczelnym jego w chwili obecnej dążeniem jest dotrzymać kroku ideom, które wszstałtują się w umysłach młodej generacji sowieckiej. Idee te, jak widzieliśmy, nie są ściśle określone, często kłócą się ze sobą, ale wszystkie wirują w okół jednej osi: w okół tęsknoty za życiem bardziej regularnym. Powoli, z trudem, po przez doświadczenia, zdobywa nowa klasa rządząca swe prawdy: lecz raz zdobyte, wydają się one elementarne. I zawsze, ilekroć te nowe prawdy doświadczalne atakowane są przez grupę, która należała do starej partii bolszewickiej, Stalin krytycyzm jej piętnuje, jako „trockizm". Poza aplauzem i oparciem, jakie zyskuje wśród młodych, korzysta ze sposobności, aby usprawiedliwić pewne braki systemu komunistycznego lub swoich własnych rządów, składając winę tych braków na sprawców „sabotażu", na „szpiegów", „obce agentury" i „wrogów" wszelkiego rodzaju.

PRZYPISEK REDAKCJI EPOKI

Gdy się czyta powyższą relację o młodym pokoleniu Rosji Sowieckiej, o pogardzie tego pokolenia dla demokracji i wolnści, dla stronnictw i gazet, odbijających zróżnicowane kierunki opinii, komuż nie przyjdą na myśl podobne, niemal tożsame szablony, szczepione młodzieży przez rządy krajów faszystowskich? I tu, i tam zapał dla totalizmu prawie w tych samych objawia się wyrazach. Dyktatura proletariatu, a właściwie dyktatura biurokracji, panującej nad proletariatem, jeśli chodzi o wzory i metody, wychowywające człowieka, stała się bliźniaczo podobna dyktaturze burżuazji.

Andrzej Gide, słynny pisarz francuski, który po odbyciu podróży do Rosji zwiedził niedawno Włochy, zdumiony był analogią zawołań i haseł, którymi galwanizuje się młode umysły w tych obu krajach, stojących po dwu przeciwnych stronach frontu politycznego. Wśród mnóstwa haseł, jakimi Mussolini werbuje młodzież, górują i na plan pierwszy wybijają się trzy, wielkimi literami krzyczące z murów wszystkich miast i miasteczek włoskich: CREDERE! COMBATTERE! OBBEDIRE! WIERZYĆ! WALCZYĆ! SŁUCHAĆ! W tych trzech nakazach streszcza się doktryna faszyzmu. Ale czy nie zamknęła się w nich również pod rządami Stalina i treść komunizmu, który wprawdzie sam siebie podaje za antytezę rządów faszystowskich, ale daleki jest od jej urzeczywistnienia? Tak samo bowiem jak faszyzm, komunizm dzisiejszy każe członkom swej partii bez zastrzeżeń wierzyć, słuchać i walczyć. Trzy czwarte napisów włoskich mogłyby z powodzeniem ozdobić mury dzisiejszej Moskwy. „Powiadają mi — robi uwagę Gide — że aby walczyć z przeciwnikiem, trzeba stanąć na jego gruncie, trzeba walczyć tym samym orężem, trzeba miecz przeciwstawić mieczowi. Być może, choć nie jestem bynajmniej o tym przekonany. Ale naprzód, ale przede wszystkim, należy duch przeciwstawić duchowi, a tego właśnie nie czyni się wcale".

Słuszność tych słów wielkiego pisarza Francji jest dla nas oczywista. I dlatego, wierni zasadzie demokracji, odpieramy hasła dyktatury i totalizmu, głoszone zarówno przez prawicę społeczną, jak przez lewicę. Z jakichbykolwiek bowiem hasła te wypływały założeń, zawsze w wynikach swoich prowadzą do ujarzmienia człowieka i narodu.

...Drobny rolnik, uprawiający własną pracą swój zagon, zależy w zupełności od wielkiego kupca zbożowego, zaś rzemieślnik-chałupnik zależy całkowicie od wielkiego składnika. Ceny, dyktowane przez wielkich kupców zbożowych i wielkich składników są tylko inną postacią płacy robotniczej. Robotnik fabryczny, drobny rolnik i rzemieślnik-chałupnik należą do tego samego obozu antykapitalistycznego, nad którym panuje i który uciska kapitał prywatny. Rozumie się też samo przez się, że do tegoż antykapitalistycznego obozu należy zaliczyć proletariat umysłowy, jakkolwiek ta grupa w swoich marzeniach, ale tylko w marzeniach! — lubi zaliczać się do „uprzywilejowanych".

ROMUALD MIELCZARSKI

Wydarzenia i dokumenty

PO USTĄPIENIU PŁK. KOCA

W dniu 10-tym b. m. zaszła zmiana na stanowisku szefa O. Z N. Ustąpił płk. Adam Koc, miejsce jego zajął gen. Stanisław Skwarczyński. Wdług relacji komunikatu urzędowego, płk. Koc nie mógł pełnić nadal funkcji wodza, stworzonego przez siebie obozu z powodu złego stanu zdrowia, które wymaga pilnej i długiej kuracji.

Próżną byłoby rzeczą dzisiaj dociekać, czy ten motyw zdrowia, ważny sam przez się i rozstrzygający, był motywem wyłącznym dla tak doniosłej decyzji politycznej. Tylko dalszy tok wypadków może przynieść odpowiedź na pytanie, dotyczące dróg, jakimi pójdzie przyszły rozwój O. Z N.

Ludzie, którzy całe swoje zaufanie położyli w osobie pierwszego wodza O. Z. N., skojarzywszy z nim pojęcie o jego jedynym powołaniu do tej roli, nie łatwo zapewne pogodzą się z myślą, że odtąd reprezentantem misji będzie kto inny, niemniej wysoko stojący w hierarchii legionowej, ale już chyba nie jedyny. Tak czy inaczej, w chwili obecnej stoimy wobec zmiany osobowej na jednym z ważnych posterunków obecnego systemu i — niczego więcej. Z chwalebną szczerością mówi o tym sam następca płk. Koca, oświadczając w swym pierwszym okólniku do O Z. N.: „Żadne istotne zmiany nie zachodzą. Nowym jestem tylko ja i moje siły, które dziś wszystkie bez reszty służbie idei zjednoczenia narodowego oddaję". Słowa te z iście żołnierską otwartością, przeciwstawiają się wszelkim domysłom i pogłoskom na temat zmiany kursu w pracach i dążeniach O. Z. N.

Zmiana człowieka nie jest zmianą systemu: oto teza, która od przedwczesnych wniosków powinna powstrzymać ludzi, skłonnych pragnienia własne brać za nadzieje, a nadzieje za fakty.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu A. Szam. w Łodzi: Nie możemy odpowiedzieć Panu na rzeczy, poruszone w liście, ponieważ nie podał Pan bliższego adresu.

Panu A. R. w Chodzieży: Dziękujemy bardzo za miły list, a także za podanie adresów. Poruszył Pan w zasadzie sprawę słuszną, jednakże wierzymy, że Pan, jako człowiek myślący, niewątpliwie przez czytanie łatwo opanuje trudności.

Panu M. L. w Krynkach: Zależy od ujęcia tematu. Decyzję powziąć możemy dopiero po przejrzeniu rękopisu.

Pani Marii P. w Babicach: Wdzięczni Pani jesteśmy za pamięć i poniesiony trud. Wszystkie numery wysłaliśmy bezzwłocznie.

Panu R. K. we Lwowie: Z pismami o takim poziomie moralnym nie polemizujemy.

POWSTANIE TOWARZYSTWA „MŁODY TEATR"

Dnia 4 stycznia r. b. powstało w Warszawie towarzystwo, pod nazwą „Młody Teatr", poświęcone torowaniu dróg młodej twórczości teatralnej.

Ma ono na celu ożywienie repertuaru teatrów w zakresie współczesnej twórczości rodzimej oraz udostępnienie nowym autorom drogi do sceny. Motywem powstania towarzystwa stało się przeświadczenie, iż w obecnej organizacji teatrów brak jest ogniwa pośredniczącego między sceną a młodą twórczością, jak również i to że warunki w których mogłoby się odbywać dojrzewanie nowych talentów nie są wystarczające.

Towarzystwo wyłoniło stale funkcjonujący komitet lektury, powołany do wzięcia pod uwagę każdego nadesłanego utworu scenicznego. „Młody Teatr" będzie wydawał biuletyn rozesłany dyrekcjom teatrów, zwracając ich uwagę na sztuki, które zdaniem komitetu na to zasługują; tym samym „Młody Teatr" będzie się starał utrzymywać kontakt z teatrami w Polsce. Nadto, w miarę uznania, komitet lektury będzie wchodził w bezpośredni kontakt z autorami nadsyłanych sztuk.

Siedziba Towarzystwa mieści się w Warszawie przy ulicy Trębackiej 4 m. 4. Sekretariat Towarzystwa jest czynny codziennie (prócz niedziel i świąt) od 17 do 18.

Zarząd Towarzystwa „Młody Teatr" a zarazem komitet lektury stanowią: Breza Tadeusz (sekretarz Towarzystwa), Hulewicz Jerzy, Lorentowicz Jan, Nałkowska Zofia, Szyfman Arnold, Wierzyński Kazimierz i Żeleński Tadeusz (Boy).

KSIĄŻKI NADESŁANE

Marian Falski: Środowisko społeczne młodzieży a jej wykształcenie. Ministerstwo Wyzn. Relig. i Oświecenia Publicznego. Warszawa 1937. Skł. Główny: „Nasza Księgarnia".

Maria Dąbrowska: Moja odpowiedź. Warszawa — Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Maria Dąbrowska: Znaki życia. Pięć opowiadań. Warszawa — Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Piotr Choynowski: Opowiadania szlacheckie. Warszawa 1937. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Egon Caesar Corti: Cesarzowa Elżbieta z 34 ilustracjami. Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Julian Tuwim: Lokomotywa. Ilustrowali Lewitt i Him Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1938.

Bronisław Malinowski: Życie seksualne dzikich w północno zachodniej Melanezji. Z trzeciego wydania angielskiego przełożyli: Andrzej Waligórski i Józef Chałasiński. 97 rycin i rysunków w tekście. Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Wanda Wasilewska: Ziemia w jarzmie. Powieść. Warszawa 1938. Towarzystwo Wydawnicze „Rój".

Stanisław Grabski: Ku lepszej Polsce. Warszawa 1938. T-wo Wydawnicze „Rój".

Lloyd George: Wspomnienia wojenne. Tom. 1. Warszawa 1938. T-wo Wydawnicze „Rój".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 59 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4496 Odbita w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.